

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
W W. Ka. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.
Ogłoszenia do Roli przyjmuje się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
Adres Redakcyi. — Warszawa — Nowy-Świat Nr. 4.

GOSPODARKA FINANSISTÓW WARSZAWSKICH. (SERJA III.)

XI.

Jakiż jednak finansisci warszawscy mieć mogli bezpośrewni cel w takim, jak widzieliśmy, forsownem przerobieniu Zgromadzenia kupców m. Warszawy na instytucję jak najszczelniej zamkniętą? Co im mianowicie zależało na odsunięciu od Zgromadzenia ogółu jego członków — czyli ogółu tutejszego kupiectwa, a na otoczeniu się natomiast gronem satelitów, zjednoczonych z nimi, najprzeważnie pochodzeniem i — interesami, a nazwanych „Komitetem reprezentantów“?

Otóż, odpowiedzi na to poszukać nam należy w atrybucjach tego Komitetu, jakie ów znany nam już „regulamin“, wprowadzony samowolnie w miejsce ustawy z r. 1817, czyli właściwie, zmieniający ustawę tę z gruntu — odnośnie do jego (t. j. „Komitetu“) działalności *zewnątrznej* (§ 39), tak określa:

1) „Komitet współdziała wraz z Urzędem starszych, w sporządzeniu sprawozdania o położeniu, stosunkach i potrzebach handlu, rękodzieł i przemysłu — rozwija w niem poglądy swoje, życzenia i wnioski.

2) „Odbywa peryodyczne posiedzenia, celem wspólnej z Urzędem starszych narady, co do wszelkich potrzeb, zmian i ulepszeń, ku ogólnemu (...) dobru kupiectwa zmierzając.”

3) „Wybiera, dla przedstawienia (?) Zgromadzeniu kupców — kandydatów na urzędy: Starszego, Podstarszego, Zastępców, Radców handlowych przy (byłym) Banku Polskim, członków Trybunału handlowego, oraz Komitety lub Delegacje do czuwania nad szkołami i instytucjami zostającymi pod opieką Urzędu starszych.“

Takie są atrybucyje, w sprawach zewnętrznych, stworzonego przez regulamin „Komitetu reprezentantów“.

Czy Komitet ów „współdziałający“ i „naradzający się wraz z Urzędem starszych“ w sprawach i potrzebach handlu, w sprawach ogólnego dobra kupiectwa dotyczących — zrobił co dla handlu i kupiectwa, w istotnem tego słowa znaczeniu — i co mianowicie?

Odpowiedź na to pytanie zamknąć można w jednym wyrazie: — *nic*, ale to *nic* literalnie.

Działalność zarówno Urzędu starszych Zgromadzenia kupców, zarówno owego Komitetu reprezentantów, jak wreszcie „wzywanego“ również do narad nad dobrem (o ironi!) handlu, Komitetu giełdowego, jest czysto — platoniczną. Tyle lat, tyle lat istnienia instytucji takiej, jaką w zasa

ma być Zgromadzenie, tyle i tak szerokich atrybucyj — i ani śladu pracy w kierunku wskazanym przez ustawę, w kierunku „zapewnienia porządku, a z nim wzrostu handlu krajowego“.

I jeżeli co „wzrosło“, to chyba... nie porządek; wzrosło i rozpanoszyło się wszystko, co wpływa nie na rozwój lecz na poniżenie prawdziwego handlu; wzrosły, rozwinęły się sposoby wyzysku przy pomocy handlu, wzrosła i spotęgowała się choćby tylko śmiałość w urządzaniu bankructw!

Tyle lat — i nie zrobiono nic, czyli że przez to właśnie zrobiono wszystko, co można było zrobić dla kasty, która dba nie o żaden krajowy, lecz o swój tylko handel!

Fakt to równie przykry jak dziwny, a jednak wyda on się nam zupełnie naturalnym, gdy przypomnimy sobie to, cośmy już zaznaczyli w artykule poprzednim. że tak Urząd starszych Zgromadzenia kupców, jak i ów Komitet reprezentantów, jak wreszcie i Komitet giełdowy, stanowią jednę niemal koteryę bogatych żydów warszawskich, a więc żywił z ową właśnie kastą krwią, interesem i pochodzeniem solidarnie związany.

Nie pytajmy też o rezultaty owego „czuwania“ nad szkołami i instytucjami zostającymi pod „opieką“ Urzędu starszych, bo i tutaj, jeżeli widzimy jakiś objaw „współdziałania“, „czuwania“ i „opieki“, to chyba w jednej tylko, jedynej inowacyi: w umieszczaniu na świadectwach uczniów szkoły handlowej portretów żydów zajmujących miejsca w Urzędzie starszych Zgromadzenia.

Są przecież, w rządzie przytoczonych powyżej, i takie atrybucyje, z których obadwa organa władz w Zgromadzeniu kupieckim korzystają nietylko bardzo skwapliwie, ale i bardzo umiejętnie — ach, jak umiejętnie! Do takich zaś atrybucyj należy, czyli raczej należał do niedawna jeszcze wybór „Radców handlowych“. Ci panowie „radcy“, za b. Banku Polskiego, mieli zadanie praktykowane zresztą wszędzie w stosunkach finansowych: opiniowali oni o wysokości mającego się przyznać kredytu danemu „petentowi“, Pozornie zadanie to, przeciwko któremu nic przecież mieć nie można; tylko tutaj zachodzi ta drobna (!) okoliczność, że onym „radcą handlowym“ nie mógł zostać nikt inny, jeno członek „Komitetu reprezentantów, t. j. członek — kliki. Kogo więc klika chciała podnieść przy pomocy kredytu, tego, rozumie się, podniosła, i przeciwnie: kogo chciała zgnieść, również uczynić to mogła, gdyż od niej, od wybieranych przez nią „radców handlowych“ zależało opiniowanie o odpowiedzialności kredytowej „petentów“ i zarazem najczęściej „konkurentów“ na polu czy to przemysławem, czy innem tego lub owego „radcy“.

Po zwinieciu Banku Polskiego, otwartym zostaje w Warszawie „Kantor Banku Państwa“, którego władza musi również mieć tego rodzaju ekspertów, coby znając dobrze stosunki miejscowe, mogli wydawać opinie o odpowiedzialności osób żądających kredytu. Gdzież jednak władza ta miała się zwrócić, gdzie miała szukać tych ludzi, tych kompetentnych „opiniotów“? Naturalnie do jedynej instytucji reprezentującej u nas stan kupiecki — do „Zgromadzenia kupców m. Warszawy“, i ztąd też rzeczywiście, z tego samego zsolidaryzowanego kółka „reprezentantów“ wyłonił się istniejący przy dzisiejszym Kantorze Banku Państwa t. z. „Komitet dyskontowy“, którego zadanie jest ważniejszym jeszcze, niż dawniejszych „radców handlowych“. Członkowie bowiem tego Komitetu przyznają już, rzeby można, taki lub inny kredyt, oceniając każdy weksel złożony do dyskonta w banku. Dziewięciu jest, o ile nam wiadomo, członków tego „Komitetu“, i — co nam wiadomo już z pewnością — wszyscy oni są członkami znowu „Komitetu reprezentantów“ w Zgromadzeniu kupieckim, to jest członkami jednej i tej samej koteryi — semickiej (1).

I nie koniec na tem. Ci sami członkowie „Komitetu dyskontowego“ przy Kantorze Banku są członkami komitetów opiniujących o odpowiedzialności kredytowej kupców, przemysłowców, rzemieślników, etc., we wszystkich instytucjach kredytowych, ile ich jest w Warszawie. Czy weźmiemy na przykład Towarzystwo wzajemnego kredytu, czy Bank handlowy, czy Bank dyskontowy, czy nareszcie najmniej jeszcze poddaną wszechwładzy Izraela Kasę pożyczkową przemysłowców warszawskich, wszędzie spotykamy kogoś z tych samych panów „radców“, i tych samych „opiniotów“, decydujących o wysokości mogącego być przyznanym kredytu — co mówimy! — o losie, o kwestyi bytu tysięcy ludzi pracy uczciwej. I doszło też do tego, że gdy ci ludzie pracy upadają pod ciężarem lichwy, nie mogąc nieraz w żadnej z instytucyj uzyskać tańszego kredytu, — mają go zato wszędzie, na każde zażądanie, spekulanci z Nalewek, bo wszędzie mają oni swoich braci, stryjów, wujów, szwagrów, teściów, zięciów, lub nareszcie współwyznawców tylko. I doszło też do tego, że gdy w danej in-

(1) Już po wydrukowaniu niniejszego artykułu, dowiadujemy się z dzienników, że, obok dotychczasowych członków „Komitetu dyskontowego“ — powołani s w i e ż o do niego zostali: p. W s i e w o ł o d I s t o m i n i p. Henryk Herbst, „szef firmy Ring i Herbst.“
(Przypisek Redakcyi.)

PRZEZ DOLINĘ ŁEZ.

POWIEŚĆ
Józefa Rogoza.

(Dalszy ciąg).

— Cicho! — krzyknął starzec — cicho! ani słowa! Tu się obrona na nic nie zda! — a potem dodał: Więc i ja doczekałem się mojego Brutusa!

Patetyczny ten frazes wywołał na usta Juliana lekki uśmiech; wujowi znowu się zdawało że chłopiec chce mówić.

— Cicho! — zawołał ponownie — ani słowa! Jak mogłeś mnie tak zawieść, tak zdradzić?! Niech cię nie znam! I czyś ty się nad tem zastanowił? Powiedz mi, czemuś się nie uczył?

— Proszę wuja...

— Cicho! — krzyknął wuj po raz trzeci. Jak ja mówię, ani słowa! Jam się nad nim męczył, po nocach ślęczał, a on to sobie miał za baj bardzo. Mogłeś być człowiekiem szanowanym nietylko w kraju, lecz także za granicą, mogłeś zostać sławnym w historii, a tak, co z ciebie będzie? No, mów, mów, co z ciebie będzie?

— Proszę wuja...

stytucji ekspertem... „od przyznawania kredytu“ jest żyd, utrzymujący naprzykład kantor komisowy, nie da on opinii przychylniej o żadnym z kupców, a zwłaszcza kupców chrześcijańskich, którzy sprowadzają towary i załatwiają interesy nie „przez jego — dom“! Gdy członkiem komitetu decydującego o wartości weksli złożonych do dyskonta, jest naprzykład żyd, właściciel czy administrator jakiejś fabryki, wówczas tego tylko weksel jest dobry, kto za towar płaci — z góry! i t. d., i t. d.

Tak; — nie jest to fantazja, ale rzeczywistość, wskazująca chyba nadto wymownie — gdzie jest istotne gniazdo tego *monopolu kredytowego*, o którym mówiliśmy już obszerniej w artykułach poprzednich, traktujących tę samą gospodarkę finansistów warszawskich — monopolu, który dławi kraj cały, zuboża i rujnuje całe masy społeczeństwa polskiego, a wzbogaca jedną tylko kastę. To gniazdo jest tu, w zmienionem samowolnie i zastosowanem dziś ściśle do celów kliki — Zgromadzeniu kupieckim. Tu jest, powtarzamy, to gniazdo, a wytworzenie go, czyli zmonopolizowanie wszystkich spraw Zgromadzenia, przez odsunięcie ogółu kupiectwa, nie miało nic innego na celu, jeno przede wszystkim — zmonopolizowanie kredytu, zamknięcie go przed całą masą ludności chrześcijańskiej. Mówimy „przedewszystkiem“, i podkreślamy ten wyraz, gdyż są tu, w temże samem gniazdku, i inne jeszcze cele, są jeszcze inne, równie *wygodne* „atrybucye“ Komitetu reprezentantów i Urzędu starszych Zgromadzenia, o których jednak pomówimy w artykule osobnym. Rzecz bo to, doprawdy, warta bliższej uwagi.

(d. n.)

Jeszcze w sprawie p. Waliszewskiego.

Czyby już nie mogło być dosyć o tej sprawie niemiłej, po części nawet wysoce skandalicznej? Takby się temu i owemu zdawać mogło, a jednak nam się zdaje inaczej. Gdzie idzie, jak już z powodu tejże samej „sprawy“, na innym miejscu wspomnieliśmy, o obronę prawdy, a zdemaskowanie fałszu i prywaty, tam powściągliwość w ogłaszaniu d o w o d ó w byłaby nie na miejscu.

Jeden zaś z dowodów takich mamy właśnie przed sobą:

Pan Dr. Waliszewski potwarczy swój zarzut, jakoby Towarzystwo kredytowe ziemskie, grając rolę Lejzora

— Cicho! — przerwał dziwak znowu. Jak starsi mówią, młodzi słuchać powinni. Gdybyś mnie był słuchał, inaczejby dziś wszystko wyglądało. Oto byłbyś zdał maturę i miał świadectwo. Z takim świadectwem mogłeś pójść na oddział filozoficzny i zostać człowiekiem... A tak, niech cię nie znam! co z ciebie będzie? Nic, nic! Rodzice zostawili ci niespełna sześć tysięcy złotych, więc niema żyć z czego, jeżeli zatem nie obierzesz sobie jakiego zawodu, zginiesz! marnie zginiesz! Wprawdzie maturę mógłbyś jeszcze poprawić i zostać urzędnikiem, ale ja nie chcę doczekać, żeby ostatni członek mojej rodziny niemcom się wysługiwał... Świątynia zaś wiedzy i sławy na wieki dla ciebie zamknięta. Niech cię nie znam! Mój Boże! i on przepadł z łaciny i greki!

Ostatnie słowa wymówił z zalem głębokim i twarz sobie rękami zasłonił. Julian osądził, że najlepiej będzie jeżeli teraz wyniesie się cichutko i wróci dopiero w chwili stosowniejszej. Dobrze też zrobił. Staruszek, wylawszy pierwszą żółć, którą miał serce przepełnione, uspokoił się znacznie i nazajutrz całkiem już inaczej przyjął Juliana, Nawet mu zrobił wymówkę, że go nie odwiedził wieczorem dnia poprzedniego. Chłopiec był cichy, potulny i ani słowem nie uniewinniał swego postępowania. Wujowi się to podobało, to też powoli całkiem o wymówkach zapomniał. Julian wtedy osądził, że trzeba ostatecznie wuja zwyciężyć.

z Nalewek, działało wspólnie z bankrutami i „niszczytelami“ majątków, na niekorzyść wierzycieli, — oparł głównie na tem, że Dyrekcyja szczegółowa kaliska o jego układzie prywatnym z właścicielem Russowa, panem Wiesem, dobrze wiedziała. Wiedziała zaś dlatego, że „przedmiot tego układu piśmienny (t. j. przyrzeczona przez pana Waliszewskiego gotówka za „niezniszczenie“ majątku) był złożonym w kasie Dyrekcyi Towarz. kred. w Kaliszu“.

Tak twierdzi pan Waliszewski — i mimo że śledztwo urzędowe, przeprowadzone przez radcę Tow. kred. ziemsk., p. Kłobukowskiego, najdowodniej stwierdziło, iż gotówka nie była złożoną w kasie Towarzystwa, lecz tylko w rękach kasyera, p. Kiedrzyńskiego, który o jej przeznaczeniu nie wiedział, pan Waliszewski, z całą... śmiałością, upiera się przy swoim. W „odpowiedzi“ swojej (Nr. 17 „Kraju“), znanej już czytelnikom z N-ru 20-go „Roli“, przytacza on jakieś przez siebie tylko — podpisane „listy“, według których miał dawać pani Wiese upoważnienie „do podniesienia z kasy Dyr. Tow. kred. w Kaliszu depozytu“, i poświęciwszy temu jakoby dowodowi (!) machinacyi radców Towarzystwa osobny, długi ustęp, woła: „alboż depozyt wstydliwego quantum w kasie Towarzystwa nie stanowi dość wymownej wskazówki?“

Tymczasem, przy liście jednego z obywateli ogólnie szanowanych, otrzymujemy (w dosłownej kopii) dokument, wydany i podpisany przez rejenta w Kaliszu, p. Paszkowskiego, człowieka, którego, jak to nawet sam p. Waliszewski zastrzega, „najmniejszy cień jakiegokolwiek podejrzenia dotknąć nie jest w stanie“, — dokument ten to właśnie na szlachetność wystąpienia p. Waliszewskiego i na prawdę słów jego, na cały wreszcie ów fundament, na którym pan W. oparł, „niezależnem piórem“ skreślone — oskarżenie całego stanu ziemskiego i jego instytucyi — rzucić może dostateczne światło, a brzmi on jak następuje:

„Na żądanie pana Lucyana Kiedrzyńskiego, objawione z powodu artykułu D-ra Waliszewskiego, zamieszczonego w gazecie „Kraj“ Nr. 3, z dnia 30 Stycznia r. b., oświadczam:

- 1) „Ze za moją poradą i w mojem towarzystwie Dr. Waliszewski zgłosił się do p. Lucyana Kiedrzyńskiego i ten ostatni, za mojem wstawiennictwem, przyjął do zachowania u siebie pakiet, zawierający 2,000 rubli.
- 2) „Ze pakiet był zaklejony i opatrzony napisem: „własność Kazimierza Waliszewskiego“, przyjęcia bowiem pieniędzy w innej formie p. Kiedrzyński odmówił.
- 3) „Ze powód złożenia pakietu w ręce p. Kiedrzyńskiego wywołanym był potrzebą złożenia pieniędzy w ręce osoby zaufanej, w celu wiadomym

— Drogi wuju — przemówił do niego — chociaż nie mam ani matyry, ani majątku, sądzę jednak, że głowę mam nie od proporcji na karku i powinienbym sobie dać radę.

— Bardzo pięknie, ale w jaki sposób?

— Oto przysłała mi myśl następująca: patrząc na te śliczne obrazy wuja dobrodzieja, powiedziałem sobie, że jeżeliby kto się zajął skupowaniem starych obrazów, które nietylko za granicą, lecz czasem i u nas bardzo tanio można nabywać, to powoli takie przedsiębiorstwo mogłoby przynosić piękne dochody. Nietylko we Lwowie i w Galicyi, lecz, o ile wiem, w całej Polsce niema nikogo, ktoby się tą gałęzią handlu zajmował.

— Mój kuzyn... Rossowski... kupcem... niech cię nie znam! — odparł staruszek i ręką machnął pogardliwie.

— A któż wujowi powiedział, że ja byłbym kupcem? Jeżeli księgarza, dlatego tylko że ma z książkami do czynienia nikt kupcem (?) nie nazywa, mimo że dzień cały za ladą stoi, to któżby śmiał nazywać kupcem mnie, jeżelibym zajmował się dziełami sztuki? Przecie ja byłbym wtedy prawie artystą.

— Może i masz słuszność, Julku... chociaż na obrazach trzeba się znać... o! i bardzo!

— Wiem, ale któż pod słońcem zna się na nich lepiej niż wuj kochany? Wuj pomagałby mi, uczył...

— Tak jak greki i łaciny! Niech cię nie znam!

podpisanemu (t. j. rejentowi Paszkowskiemu) i D-rowi Waliszewskiemu.

- 4) „Ze pakiet złożony był panu Kiedrzyńskiemu jako osobie prywatnej i o składaniu go jakoby w kasie Dyrekcyi szczegółowej Tow. kredytowego choćby najlżejszej nie było wzmianki.
- 5) „Ze pan Kiedrzyński wydał kwit prywatny — w treści przezemnie podyktowanej, a mianowicie w treści: „że zwrot depozytu nastąpi okaziełowi kwitu i za zwrotem tegoż“.
- 6) „Ze odbiorcą pakietu ja sam byłem i że kwit, o którym wyżej mowa, powrócony został panu Kiedrzyńskiemu.

„Oświadczenie to moje, z którego zrobienie użytku pozostawiam uznaniu p. Lucyana Kiedrzyńskiego, podpisem moim stwierdzam.

Kalisz, dnia 10 Kwietnia 1887 r.

(podpisano) *Alfons Paszkowski.*“

A teraz co? Co mamy ostatecznie sądzić o całej owej tragi-komedyi, przedstawionej przez szanownego „doktora obojga praw“, „historyka“, „krytyka“, „publicystę“, „korespondenta z nad Sekwany“ i — któżby tam policzył wszystkie te tytuły, jakich sobie p. Waliszewski, jak wiadomo, nie szczędzi? Co o tem sądzićby powinni ci nawet, co oszczerstwo, rzucone na cały stan ziemski, a wylęte z prywaty, obnosili z tryumfem po swoim rynku pseudo-postępowym, to jest po rynku tępienia, wespół z księciem Bismarkiem, „przeżytej szlachty polskiej“ i wszelkiego — wstecznicstwa? Sądzimy iż dla nikogo z ludzi posiadających bodajby odrobinę jakąś poczucia sumienności, — wątpliwości, wobec przytoczonego powyżej dokumentu, być już chyba nie może. Każdemu też z nieuprzedzonych, cała ta „historia“ przedstawić się musi, mniej więcej, w sensie takim:

Pan Waliszewski, niezadowolony z zapłacenia paru czy kilku tysięcy rubli więcej za majątek, niżli zapłacić miał ochotę, niezadowolony: i z układów swoich i ze sporów z właścicielem subhastowanej posiadłości — mści się w sposób oryginalny — w sposób, który chyba tylko w „Kraju“ mógł znaleźć aprobatę — wywólcząc sprawę czysto osobistą na arenę publiczną i oczerniając wszystkich w czambuł! I Towarzystwo kredytowe ziemskie — powiada on tedy — i wy, co je reprezentujecie, i wy wszyscy, co jesteście właścicielami ziemskimi, stanowicie jedną zgraję szachrajów!

— Ależ, panie — odpowiadają mu na to — zastanów się, co mówisz. Przecież ci ludzie, których szkalujesz — pomawiając o „zmqwę z szachrajami“ — przecież Dyrekcyja kaliska nie wiedziała nawet o pańskich układach z Wiesemi, Landanami etc., i nie znała ich treści!

— JAKO nie wiedziała? Alboż przedmiot układów nie był w waszej kasie, w kasie Dyrekcyi złożony? —

— Nie, nie wujaszku! Wuj by mnie uczył historii sztuki i jak obrazy poznawać, a tak powoli ostrzelałbym się z tym przedmiotem i później działałbym już na własną rękę. Niech wujaszek o tem pomyśli. Nie mogłem zostać klasykiem, niech więc będę artystą.

P. Czarkowski zadumał się głęboko. Podobało mu się, że chłopiec zastanawiał się nad swoją przyszłością i zaczął myśleć o sobie. Pochwalał również jego energję, nie nie mniej ufność w powodzenie. Przypomniał sobie także, iż mieszkając na Wołyniu, skupował u sąsiadów pszenicę, którą potem do Odessy wysyłał, a chociaż dobrze na tem zarabiał, nikt go handlarzem nie nazywał. Ze wszystkiego atoli najbardziej to mu pochlebiało, że był ktoś, co go uważał za wielkiego znawcę sztuki. Aby więc to przekonanie jeszcze bardziej w nim utwierdzić, postanowił nietylko uczyć go historii malarstwa i tajemnic sztuki, lecz także pomagać mu radą, a gdyby okazała się potrzeba, nawet pieniędzmi. Greka i łacina haniebnie go zawiodły, oby mu przynajmniej sztuka dopisała.

Od tego dnia wuj i siostrzeniec codziennie rozmawiali o nowym projekcie.

XXVII.

Julian nie był artystą, ale zmysł krytyczny miał nadzwyczajny. Dość mu było spojrzeć na jakie płótno, żeby od

alboż przyjęcie przez k a s ę tego w s t y d l i w e g o depozytu nie stanowi dostatecznej wskazówki?!

Tak prawil pan Dr. Waliszewski, a jednak ile w tych słowach było prawdy, czyli jak silnym był — fundament, na którym, powtarzamy, pan W. głównie oparł swój zarzut i cały akt oskarżenia — świadczy ów dokument, wydania którego w takiej formie szanowny „doktor obojga praw“ nie przeczuwał widocznie.

I pomyślmy teraz, że tenże sam pan Kazimierz Waliszewski, obierając sobie za m o t t o zdanie Kalinki, woła wraz z nim w odpowiedzi swojej: „*Nierzetelność* to najcięższa nasza niewola“ i t. d.!

Nie wiemy ile jeszcze i jakich głosów odezwie się w tej „sprawie“; — wiemy tylko, iż jest ona już chyba aż nadto wyjaśnioną, i że nawet dziecko wiedziałoby już dzisiaj co sądzić o godności, powadze i budującej bezstronności jej — twórcy.

Co do nas przynajmniej, na tem oświeceniu, w jakim ją przedstawia świadectwo rejenta p. Paszkowskiego, na teraz — poprzestajemy.

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

(Dalszy ciąg.)

Przykład figur rządowych staje się podniętą dla innych. Na pierwszą wiadomość o zawartej umowie, dowiadujemy się że grupa negocyantów i finansistów, na czele której figurują naturalnie żydzi, Günsburgi, Ulmanny, Ernestowie Levy, zebrała się w lokalu izb syndykalnych, przy ulicy Lancry, w celu zaprojektowania „pierwszych zarysów organizacyi Tonkinu“.

Na pierwszy rzut oka, sytuacja zdaje się być taka sama, jak w XVI wieku.

Znaleźć złoto! — to był cel towarzyszy Korteza i Pizarra, a historia — niestety! — uczy nas, że nie wahali się niejednego indyanina piec żywcem na kracie, żeby go zmusić do wyznania, gdzie są te kopalnie, pełne bajecznych bogactw, o których myśl — uparcie dręczyła mózg najeźdźców.

Zastanowiwszy się jednak bliżej, łatwo się przekonać, że nie istnieje żadna analogia między temi dwoma położeniami.

Hiszpanie szukali złota, znaleźli je, przywieźli do Europy, a galiony przybyłe z Indyj pozwalały królom hiszpańskim wytrzymać pięćdziesięcioletnią walkę z całym światem. Ktoby temu nie wierzył, niech się zgłosi do pana Duclerc'a, byłego ministra spraw zagranicznych. Pod pre-

razu znaleźć w niem ujemne i dodatnie strony. Wprawdzie pierwsze odkrywał nierównie prędzej, niż drugie, łatwiej bowiem dojrzeć złe, niż dobre, ale ponieważ zamiarem jego było kupować i sprzedawać obrazy, więc i to mogło być dla niego bardzo korzystne.

Po dwóch latach strawionych na czyszczeniu obrazów wuja, które sumiennie werniksem pociągał, by lepszy połysk miały; po przeczytaniu kilkunastu dzieł sztuce poświęconych i usłyszeniu z ust starego dziwaka miliona uwag najrozmaitszych, z których jedna połowa drugiej się sprzeciwiała, w głowie bowiem pana Czarkowskiego nie było uporządkowane — po dwóch tedy latach, Julian otrzymawszy od wuja kilkaset złotych ze swojego spadku po rodzicach zaczął działać na własną rękę.

Nieraz chodząc po mieście, widywał on żydków noszących obrazy ciemne, brudne, czasem w ramach połamanych, najczęściej bez ram i gdzieś tam podziurawione, które oni kupowali za bezcen, na sprzedażach przymusowych. W antykwarniach spotykał się także z malowidłami, które pył razem z książkami pokrywał, a na tandetach nie jedno dzieło już zapomnianego artysty wзираło smutnym okiem z pomiędzy starych rupieci. Mając kilkaset złotych w kieszeni, pusił się tedy w podróż po mieście. Trzy dni chodził, szukał, przypatrywał się, targował, nareszcie kupił za bezcen trzy obrazki, które naprędce w pokoju odczyściwszy, zaniósł wujowi pokazać.

tekstem, że jeden z galionów utonął niegdyś w zatoce Vigo, znalazł on sposób wyciśnięcia piętnastu milionów z akcyonaryuszów, którzy nigdy nie ujrzeli ani pieniędzy Filipa II, ani swoich.

Tym razem okoliczności są zupełnie odmienne. Kopalni w Tonkinie niema, a wojna prowadzi się jedynie, aby dać pole spółce komandytowej, która będzie podobną do wszystkich poprzednich przedsięwzięć i zrukuje tych wszystkich, co powierzą swoje kapitały jej założycielom.

Tak to my zawsze wracamy do systemu żydowskiego. „Żyje się z tego co jest i co się wytwarza“ — powiedział Proudhon. Otóż żyd jest negacyą tego; on nie wytwarza nic, a chce pieniędzy, jest więc skazany, ale to nieodwołalnie skazany na szukanie ich tam gdzie są, to jest w kieszeni tych, co pracowali na ich nabycie. Kastyljczycy, dzięki zuchwałstwu, dzięki wyższości w odwadze, zdołali zdobyć szturmem pełen złota pałac Montezumy; żydzi trzymają także bezustannie w oblężeniu, ale szafę oszkloną, w której drobny kapitalista, rzemieślnik porządny, odzwierny wreszcie, chowają swoje oszczędności.

Faktem jest, że w Tonkinie wydano na śmierć dziesięć tysięcy francuzów i zmarnowano ośmset milionów, aby wynaleźć miejsce stosowne na ogłoszenie prospektu emisyi finansowej. Ponieważ wszystkie takie miejsca były już zużyte, szukano więc nowego, i znaleziono mur chiński.

Nie potrzebujemy wracać do nieprawdopodobnych szczegółów tej wojny, rozpoczętej niewiedomo dla czego, i prowadzonej tyle czasy, choć nigdy wypowiedziana nie była. Niepodobna zrozumieć w jaki sposób prowadzono te rzeczy i zdaje się że ta polityka bez związku musi kryć w sobie wszelkiego rodzaju podłości, które przyszłość dopiero wyświeci. Wszyscy wtrącają się do negocyacji, z wyjątkiem tych, do których to należy. P. Bourée, który przed rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich uzyskał więcej, aniżeli nam dał traktat tien-tsiński po tylu ofiarach z ludzi, popada w niełaskę, a porucznik od marynarki otrzymuje upoważnienie do negocyacji na zasadach, których przyjęcie nie chciano. „Times“ ogłasza ten traktat szczególny i wtedy spostrzegają się wszyscy, że treść jego jest wręcz przeciwną temu co się w nim, według p. Juliusza Ferrego, miało znajdować. Niedołęga Millot pozwala w Bac-Le wymordować naszych żołnierzy, w skutek zaniechania najelementarniejszych ostrożności. Juliusz Ferry wykrzykuje uroczystie: „Takich rzeczy nie puszcza się bezkarnie“, i zażądawszy nowych dwustu milionów, zawiera, za pośrednictwem pewnego anglika traktat, w którym niema mowy o żadnym wynagrodzeniu, i w skutek którego puszcza wyspy Rybackie, jedyny punkt który nam mógł być pożyteczny w tych stronach, jedyny, w którym zawadzaliśmy anglikom. Przez ten czas francuzi giną tysiącami od kuli, od tyfusu, cholery i klimatu; szpitale pełne są chorych a pozbawione

Starzec oczy przetarł.

— Van-Dyck! Niech cię nie znam, Van-Dyck! To któryś książę, jako dziecko! — zawołał oglądając głowę chłopczyka ustrojonego w duży kołnierz koronkowy — Van-Dyck! Gdzież ty go znalazł chłopcze?

— W antykwarni Iglu... ale niech wuj zgodnie co za niego dałem?

— Sto guldenów... a może i sto pięćdziesiąt... Chociaż nie, tyle nie masz w całym majątku.

— Trzy guldeny wuju kochany — odpowiedział śmiejąc się Julian.

— Niech cię nie znam! Jak widzę ty lepiej umiesz robić interesa niż ja sam, choć na tem zęby zjadłem. Ja za tego Van-Dycka, co tam wisi w drugim pokoju dałem czterysta rubli i jeszcze się ucieszyłem, że go tanio kupiłem. A nie jest od twego piękniejszy, nie!

— Niech kochany wujaszek przypatry się teraz tym flamandom... nie wielkie, prawda, ale piękne. Obadwa kosztują mnie dwadzieścia pięć guldenów. Żyd, który je miał na tandecie, musiał się od kogoś dowiedzieć, że nie są one bez wartości, skoro więcej cenil i lepiej się targował niż antykwaryusz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

lekarstw. Nareszcie, dla uwieńczenia gmachu, nieszczęsny Herbinger traci głowę pod Lang-Son, a nasza ucieczka w panicznym popłochu przed chińczykami odbiera armii francuskiej resztę uroku, jaki ją jeszcze otaczał.

W głowie się miesza, gdy człowiek pomyśli, że te wszystkie awantury są historyczne, że ludzie naprawdę umierali z łaski takich marynetek, że było zgromadzenie, które to wszystko zatwierdziło. Nic może nie daje lepszego pojęcia o potulności i uległości rodu ludzkiego. Nędznicy, którzy pozbawili życia tyle istot ludzkich, używają spokoju nie swoich milionów. Zaledwie przyszedłszy do siebie z pierwszego strachu, który, przyznać to trzeba, był wielki, Juliusz Ferry podczas rozpraw nad sprawą lang-sońską, śmiał się na całe gardło na swej ławce z Raynałem, który mu zapewne opowiadał o ohydnych kalectwach, jakie w Tonkinie jeńcom naszym zadawano. Trudno byłoby uwierzyć w cynizm podobny, gdyby nie sprawozdanie z tego posiedzenia.

„P. C l e m e n c e a u. Wszelka dyskusja między nami skończona. My nie chcemy was dłużej słuchać, nie chcemy z wami rozprawiać o wielkich interesach ojczyzny (oklaski). Nie znamy was; nie chcemy was znać (nowe oklaski).”

„Na wszystko coście powiedzieli i uczynili dotąd, rzucaam zasłone zapomnienia.”

„To już nie ministrowie stają przedemną — to oskarżeni! (oklaski na prawicy i na lewicy).”

„Gł o s y z l e w i c y i z p r a w i c y. Ci panowie się śmieją!”

„P. p r e z e s i z b y. Panowie, proszę zachować się spokojnie.”

„P. R a o u l D u v a l. Są oburzenia, których niepodobna powściągnąć. Pan prezes ministrów śmiał się! (oklaski na prawicy).”

„P. C l e m e n c e a u. Tak jest, oskarżeni o zdradę stanu, nad którymi, jeżeli jest jeszcze sprawiedliwość we Francji, ręka jej niebawem zaciążyć powinna. (Nowe oklaski na lewicy).”

„P. G a i l l a r d. Konstatuję, że pan Juliusz Ferry śmieje się jeszcze. (Zgiełk).”

Upadek Ferrego, to karta historii godna uwagi, a ta data 29 Marca, która patrzyła na katastrofę twórcy dekretów, warta aby się nad nią nieco dłużej zatrzymać.

Pod wrażeniem sprawionem wiadomością o klęsce pod Lang-Son, społeczeństwo to, nagle zbudzone, okazało się podobnym do jednej z owych staruszek, które wczoraj jeszcze widzieliśmy elegantkami pod pokrywą kosmetyków, a które usłyszawszy krzyk: Gorel, wypadają na schody i okazują się tem czem są rzeczywiście, okropnymi babami, pomarszczonymi jak zwiedle kartofle, na poły trupami.

Paryż taki, jakim go widzimy w owej chwili, daje nam rozpaczliwy obraz tego, czem byłaby stolica po pierwszej klęsce, nawet drobnej, w wojnie z Niemcami. Niema w niej władzy, niema rządu, niema nic — wszystko leży na ziemi.

Jedno słowo prawdy wystarczyło na zadanie śmiertelnego ciosu temu oportunistowi, który żył ciągle kłamstwem który oszustwo podniósł do systemu. Jakim sposobem Ferry wykrztusił tę prawdę? Dla czego nie ukrył tej depechy, tak jak ukrył tyle poprzednich?... Przeląkł się. Tego adwokata złowrogiego, który zabił więcej ludzi niż jaki zdobywca, który zabijał głodem, umiejętnie uorganizowanym podczas oblężenia, który zabijał za pomocą sądów wojennych, w roku 1871, który zabijał za pomocą Tunisu i Tonkinu, dręczy, niby upiór, myśl uparta, że pewnego pięknego dnia wpadnie zycwem w ręce ludzi i że zapłaci za wszystko złe, które zdziałał. Odebrawszy depechę, myślał że jest zgubiony i opuścił ręce.

Masy w owym dniu zdawały się być rozbrojone — wstrętem. W owych to godzinach nerwowych, w których cały ruch miasta koncentruje się na f o r u m, w której dziennikarze, zecerzy, mechanicy, sprzedający dzienniki, pomieszani z sobą rozmawiają po drukarniach, można widzieć ile stron pięknych lud nasz zachował. Miewa on do różną intencję prawdziwych odpowiedzialności. Robotnicy nie czytali „Timesa“, gdzie było wykazane, że to Rotszyldowie dokonali pożyczki chińskiej i tym sposobem dostarczyli broń przeciw nam. A jednak, z własnego popędu poczęły się od godziny 11-tej tworzyć grupy na rogu ulic Lafitte i Lafayette. Gniew począł je ogarniać, począto rozprawiać hałaśliwie, wreszcie rozległ się okrzyk: „Do Rotszyldów! do Rotszyldów!...”

„Na szczęście — mówi „Gaulois“ — inne osoby wdały się w to i odradziły tłumowi wykonanie tego projektu.”

Nie dzielając opinii tego dziennika żydowskiego, za-

znaczyć należy ten jakby instynktowy objaw, który jest niby krzykiem sumienia publicznego, chwilą jasnovidzenia, którą dzienniki usypiają czempredzej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ideaty belletrystyki pozytywnej.

(Dalszy ciąg.)

Pan Bałucki wprowadził pierwszy z pisarzy liberalnych do powieści stan duchowny, nie krępując się względami, jakie inni autorowie zachowują, gdy mówią o księżach. Pani Orzeszkowa ominęła zrzęcznie tę „drażliwą u nas kwestyę“, Jeż potracił tylko mimochodem o nią, gdyż naszkicował zaledwo dwie karykatury (ks. Zmianko, ks. Korecki), a pan Bałucki poświęcił temu przedmiotowi osobną powieść („Siostrzenica księdza proboszcza“).

Idealem (!) p. Bałuckiego jest ksiądz, który nie prawi ludowi o niebie, nie straszy go karami piekielnymi, ale uczy jak żyć na ziemi, jak spełniać obowiązki swoje; który „nie rozognia imaginacyi, ale przemawia do rozsądku, działa na serca i poświęca dla miłości i pracy drobiazgowo (!) ceremonie kościelne“!

Takim kapłanem „postępowym“ jest ks. Jan Oleka („Siostrzenica księdza proboszcza“), człowiek rozumny, światły, doradca i opiekun swych parafian.

Ks. Oleka przemawia ciągle jak liberał dzisiejszy, dla którego to, co pożyteczne, stoi wyżej od tego, co piękne, wzniosłe, szczytne. Płaskim on jest utylitarystą, kolegą przemysłowców, fabrykantów, bankierów, zubożonych handlarzy, Zdaje mu się, że teologia, to ekonomia polityczna, albo zdawkowa, pospolita filozofia praktyczna. Uczy on, jak żyć na ziemi, jak gdyby taki wykład był jego jedynym zadaniem.

Ks. Oleka zapomina o tem, że powinien być przede wszystkim stróżem idealnych dóbr swoich parafian, że religia nie jest tylko etyką, ale i nauką o Bogu; że uczynki doczesne zostają o tyle pod jego kontrolą, o ile odnoszą się do kary lub nagrody pozagrobowej. Kapłan nie może być „pozytywistą“, marzącym jedynie o wygodach i dobrobycie. Jeżeli się komu posłannictwo duchowne nie podoba, nie potrzebuje wstępować do seminarium, skoro jednak przyjął święcenia, niema prawa odbiegać od drogi wytkniętej przez Kościół.

Autor „Siostrzenicy księdza proboszcza“ potępia, razem z wytartym liberalizmem nowoczesnym, który jest rozwodnieniem programu „oświeconych“, „błyskotki, łupinę (!), cień, echa“, czyli ceremonie kościelne, a domaga się „ziarna, prawdy, głosu, czyli istoty religii“.

Najznakomitsi mędrzy wszystkich czasów usiłowali zgłębić do dna tę tajemnicę odwieczną, pragnąc ją zrozumieć za pomocą środków przyrodzonych. Wiadomo jednak że trudy ich spelzły dotąd na niczem. Gdzie szukać należy początku i końca wszechbytu? Na to odpowiada wyczerpująco tylko — w i a r a. Jakże można żądać od miliona umysłów przeciętnych, aby się zadawały pojęciem oderwanem, kiedy ta strawa niepochwytana nie wystarcza na całe życie głowom wybranym.

„Ceremonie — prawi nam nasz liberał — są niepotrzebne“. A dczegóż składa się człowiek z duszy i z ciała, dlaczego musi sobie najbujniejszej wyobraźni poeta zamyslić rzecz, którą chce zrozumieć, czuć, widzieć? Nie „przynęte“, jak twierdzi p. Bałucki, stanowi zewnętrzna część każdej religii, lecz ustępstwo dla natury ludzkiej, która nie jest zdolną do pojęcia, do rozmiłowania się w abstrakcyi. Tu i owdzie znajdzie się może jakaś jednostka ze smakiem „wydelikacjonym“, „obywająca się bez formalizmów“, ale będzie to tylko bardzo nieliczny wyjątek. Dla dziwaków zaś i fantastów nie buduje nikt kościołów.

Wszelkie przeto „formalizmy“ polegają na głębokiej psychologii, i dlatego należy się dziwić, że pisarz tak „trzeźwy“, jak pan Bałucki, nie odczuł ich doniosłości i nie zrozumiał potrzeby.

Ks. Oleka p. Bałuckiego ma być idealnym kapłanem, według szablonu liberalnego, a tymczasem, nie jest on przede wszystkim księdzem katolickim. Płytki to liberał, nie znający ludzi, których chce i powinien uszlachetniać i oświecać.

Pan Michał Bałucki usiłuje być bezstronnym, mimo swych przekonań liberalnych, z którymi się wcale nie tai. Więcej artysta niż publicysta, nie poświęca on prawdy dla tendencyi. Tworzy głównie za pomocą obserwacyi żywej,

nie krępując się chwilowymi doktrynami stronnictwa. Sięga rzadko do głębin duszy, nie rozwija psychologicznie charakterów, motywuje niedostatecznie nagle przejścia, ślizga się po powierzchni każdego przedmiotu, lecz wystrzega się, do pewnego przynajmniej stopnia, bezwzględnej zaciekłości.

Pan Bałucki nie oszczędza ks. Felicjana („Żydówka“), nie przebiera w barwach przy odmalowaniu kapelana („Siostrzenica księdza proboszcza“), ale zdobywa się także na typy (w jego poczuciu i pojęciu) dodatnie, ze staru duchownego (ks. Piotr w „Pańskich Dziadach“ i ks. Ołęka). Ogólnie biorąc, światła opromieniają u niego cienie w stopniu nieco wyższym, aniżeli u pani Orzeszkowej, choć autorka litewska okazała się pod tym względem znacznie dojrzalszą od p. Jeża.

Pan Bałucki nie lubi, jako liberał pozytywny, szlachty, do hrabiów zaś czuje „słabość“ szczególną.

Czuć wśród czytania, że się autor bawi, ilekroć prowadzi hrabiego lub hrabinę do kryminału. Sprawia mu to aż zbyt widoczną przyjemność.

Mimo to, zwycięża w nim artysta mieszczanina krakowskiego, patrzącego z niechęcią na paniczów, którzy szlifują chodnik „linii A. B.“, obok bowiem zbrodniarzy z tytułem hrabiowskim, znajdują się w jego powieściach postacie jasne, jak małżonek kochliwej pani Gilskiej, synowie tejże („Pańskie Dziady“), baron („O kawał ziemi“), a przede wszystkim hrabianka Irena („Błyszczące nędze“), silniejsza charakterem od plebejusza Ludwika, który nie umie zapanować nad swoją namiętnością.

Chociaż też p. Bałucki nie należy do pisarzy głębszych, bierze jednak naturę ludzką s z c z e r z e j od innych autorów t. z. postępowych. Nie obarcza on pewnymi wadami jednego, z góry oznaczonego stanu, nie poddaje się „hasłom“ swego obozu, lecz obserwuje uważnie człowieka, bez względu na jego pochodzenie.

Oto np. jego powieść p. t. „Byle wyżej“. Nie konserwatyści w niej działają, nie szlachcice, hrabiowie i t. p. „wsteczniczy“, jeno szewcy, stolarze, rzemieślnicy i demokraci inni, a mimo to nie ustępują w niczem arystokratom.

Dość nazwać Baryłkiewicza np. Firlejsem i zrobić go wojewodą zamiast szewcem, aby mieć typ „wsteczniaka“ p a r e x c e l l e n c e. Starszy cechu posiada wszystkie rysy, składające się na wytworzenie zaciekłego konserwatyisty.

Architektonika powieściowa pana Bałuckiego grzeszy dość często zbyt wielką dowolnością. Nie lekceważy on rozmyślnie techniki artystycznej, jak Teodor Tomasz Jeż, nie zamęcza czytelnika przystawkami, zajmującymi całe tomy, lecz nie uważa za konieczne pamiętać o poprawnej budowie. Ekspozuje dobrze, w dalszym jednak ciągu nie wiąże scen cementem wynikliwości, lubując się w straszliwych wypadkach. Jego bohaterowie duszą, dla pieniędzy, ciotki, nawet ojców (bankier Alfred Sztolce w „Byle wyżej“), mordują stare lichwiarki, topią kochanki („Sabina“), dopuszczają się, słowem, z zimną krwią, czynów potwornych.

Zabarwiona w tak jaskrawy sposób, fabuła zyskuje na ciekawości i podoba się niezawodnie zwykłym pochłaniaczom belletrystyki daleko więcej, aniżeli logicznie i psychologicznie przeprowadzona akcja, lub ścieranie się idei z ideą, nieprzystępne dla wielkich mas, ale przed kratkami sądu fachowego musi się spotkać z zarzutem nieprawdopodobieństwa, gonitwy za grubymi efektami, zwłaszcza gdy autor nie motywuje swoich... okropności.

P. Bałucki gromadzi mnóstwo dziwnych nieraz wypadków, nie troszcząc się o ich wewnętrzne połączenie. I jego charakterystyce osób braknie staranności, cieniowania, oblicza duchowego. Szkicuje on zwykle „od ręki“.

Dodawszy do wad powyższych, bardzo często zaniebany, a zawsze pospolity styl, trudno przyznać p. Michałowi Bałuckiemu, który jest bezwątpienia artystą w pomysłach, — tytułu t e c h n i k a artystycznego. Ani jedna z jego powieści nie stanie kiedyś współrządnie obok dzieł rzeczywistej wartości artystycznej, chociaż niejedna bawi i zajmuje na razie szerokie koła „ciekawych“.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Z kraju Arpada.

I.

Buda-Peszt d. 12 Maja.

Pod grozą przerażających wieści, które od dni kilku całą stolicę naszą, ba, co mówię, kraj nasz cały obiegają,

rozpoczynam, powolny uprzejmemu zaproszeniu Waszemu, niniejsze moje z „Arpadowego kraju“ sprawozdanie. Wieści te, jutro już, a może i dziś jeszcze nawet, pojawią się na szpaltach tutejszych dzienników; telegrafy i poczty rozniosą je na wsze strony świata. Wieści zaś te, z którymi i ja spieszę, są niczem innym, jeno wynikiem anormalnego ustroju, w jakim społeczeństwo tutejsze, terroryzowane przez frakcyje — własne, egoistyczne cele przedewszystkiem na widoku mające — bezwiednie i od dłuższego już czasu pozostaje. Zresztą, o tym przedmiocie obszerniej mówić będę w jednym z następnych moich listów; obecnie przejdźmy raczej do szczegółów tych wieści, o jakich na początku wspomniałem.

Oto, w sąsiedniej stołecznemu naszemu miastu okolicy, żydowski młodzieniec, nazwiskiem Moric („Maurycy“) Manfrid, ofycjalista niejakiego Lejby („Leopolda“) Pollaka, stając w jego obronie, wystrzelał z rewolweru zabił dwóch chłopów, ojców rodzin, ludzi wiekowych i ogólnym całej włości cieszących się szacunkiem. To właśnie smutne zajście stanowi główny przedmiot tych niepokojących wieści jakie kraj niepokoją, historia zaś tego zajścia przedstawia się tak:

W miejscowości Buda-Eörs, od lat przeszło trzydziestu, żaden żyd, wedle postanowienia ludności miejscowej, osiedlić się nie mógł. Po części kwitnący stan gospodarstw rolnych, który zawdzięczać należy rządności i pracowitości włościan miejscowych, w części zaś wrodzony ludności tutejszej wstręt do wszystkiego co jest semickiem, co tylko rasę tę przypomina, były główną przyczyną takiego postanowienia ludności rzeczzonej — postanowienia obliczonego zresztą w odpowiednią przepisom tutejszym formę prawną. Od czasu do czasu, usiłował ten i ów żydek osiedlić się tutaj, otworzyć bądź to skład wódek i piwa, bądź też rozpocząć handel lasami, bądź wreszcie założyć, bardzo dobrze tu mogącą procentować, jakąkolwiek fabrykę; usiłowania te wszakże, z powodu groźnej, stanowczej i wyzywającej nawet postawy chłopów tutejszych, pelżyły zawsze na niczem.

Pomimo jednak wszystkich tych, nietylko dla każdego przedsięwzięcia, ale i dla osoby nawet przedsięwzięcy, wprost groźnych symptomatów, postanowił wspomniany wyżej żyd Pollak osiedlić się tutaj. Nie zważając tedy na wrogie usposobienie całej — ale to bez wyjątku żadnego — ludności miejscowej, nie bacząc na ostrzegawcze głosy własnych, przezorniejszych jego współwyznawców, ów p. Pollak zamiar swój doprowadził do skutku. Osiedliwszy się tedy w Buda-Eörs, zajął się wypalaniem wapna i cegły, a jako człowiek majątny, wybudował zaraz wspaniałą fabrykę, w której zatrudniał w samych początkach kilkunastu, następnie kilkudziesięciu, w końcu zaś kilkuset robotników. Interesa jego materyjalne szły nader pomyślnie, niosąc mu pokaźne zyski w darze; usposobienie jednak ludności miejscowej, wrogie dotychczas, stawało się bardziej nieprzyjaznym i zawziętym z dniem każdym. Dość będzie, gdy powiem, że miejscowy urząd pocztowy wszelkie listy, przesyłki i pakiety nawet pieniężne, jakie pod adresem Pollaka pacychodziły, w ciągu całego szeregu lat, odsyłał odwrotnie, z tą zawsze stereotypową formułą, podpisem pocztmistrza i pieczęcią rządową opatrzoną, że: „w naszej miejscowości nietylko Lejba Pollak, ale w ogóle żaden żyd nie mieszka“.

Tym sposobem, pan Pollak listy adresowane do niego inną drogą odbierać musiał; łatwo więc bardzo zrozumieć można, jak wygodną była jego pozycja na „własnych“ (!?), jak on mawiał, „śmięciach“.

Odwzajemniając się tedy za wrogie owo usposobienie chłopów, sprowadzał pan Lejba Pollak robotników z innych zupełnie, odległych miejscowości. Dzielną mu w tem pomocą był wspomniany już również ofycjalista, czyli, jak się tytułował, „werkführer“ jego, Moric Manfrid, który, nie poprzestając na tem, że nie dawał żadnego zarobku okolicznym mieszkańcom, starał się nadto pyszalkowatością swą i chorobliwą, plemienną arogancją drażnić ich i szykanować na każdym niemal kroku, i to właśnie spowodowało rozruchy dzisiejsze — rozruchy w stopniu bardzo poważnym i z następstwami nie dającymi się może nawet, jak na teraz, obliczyć.

Doprowadzeni do ostateczności postępowaniem pana Morica jak i jego „pryncypała“, chłopci, zebrawszy się w liczbie około stu, uzbrojeni w cepy i siekiery, a w części i w okute żelazem pałki, wtargnęli w dniu onegdajszym do mieszkania spanoszonego owego przedsięwzięcy i poczęli rozbijać wszystko, co im tylko pod rękę podpadło. W obronie zagrożonego mienia, stanęli w pozycji zbrojnej głów-

wnie sam Pollak i Manfred, i — jak już wiadomo — ten ostatni, wystrząłem z rewolweru, położył trupem dwóch z pomiędzy malkontentów. Zaraz też Moric został aresztowany, i dziś właśnie związanego przywieziono do stolicy, gdzie, jako oskarżonego o zbrodnię zabójstwa, sędzić go będzie tutejszy „Alt-ofner Bezirksgericht“ (Staro-Budziński Sąd Okręgowy).

Samo się przez się rozumie, że po tem co zaszło, „rewolucya chłopów“, zamiast zmniejszyć, wzmogła się jeszcze. Ruchomości Pollaka zniszczonemi zostały do szczeru, a dom który zamieszkiwał, rozwalony tak, że kamień na kamieniu nie został.

Nie pomogła nic zbrojna pomoc, przez władzę komitatu na miejsce wypadku przysłana. Liczba malkontentów wzrasta i dochodzi już obecnie poważnej cyfry tysiacyca z gó r a o s ó b; miejscowe zaś władze zachowują się biernie, nie chcąc wzburzonych, jak jedna fala, umysłów, interwencją swą bardziej jeszcze rozdrażniać. Co będzie dalej? któż przewidzieć zdoła? W każdym razie, o dalszym przebiegu nowej tej, niestety, przez samych żydów i w tak fatalny sposób wywołanej „hecy“, w liście najbliższemu nieomieszkać Wam donieść. ski.

P. S. W chwili już wysyłania listu niniejszego na pocztę, otrzymałem wieczorny numer dzisiejszego, jednego z najlepszych pism tutejszych, „Budapester Tageblatt“, z którego dowiaduję się właśnie, iż rzecz ta zaczyna przybierać nader groźne rozmiary. Okoliczne wsie poczynają się zbroić, chłopstwo całe wzburzone, napady zaś na żydów dalszych miejscowości pomagają się tak, że władze komitatuwe zażądały zbrojnej pomocy od policji pieszkiej.

NA POSTERUNKU.

Na cześć wystawy! — Moje zdumienie. — Czego nie miał Londyn, Berlin ni Paryż. — Hygiena zwyczajna i hygiena bezwzględna. — Hygieniczne brylanty, higieniczne napastrki, higieniczne majoliki, higieniczne świece, higieniczny wosk, higieniczny krochmal, higieniczny makaron, higieniczna musztarda i higieniczne wino krymskie pewnej firmy żydowskiej. — Uniwersalna współpracowniczka pewnego Kuryera i jej uwagi o brakach na wystawie. — Brak... mikwy i — powietrza z Nalewek. — Reklama i niewdzięczność kliki. — Anonimy z groźbami i potwarze plotki. — Wyjaśnienie „zagadki“. — Czy rozumiemy?

Witaj nam! dla cię lutnią dziś słodko nastroję
I śpiewać będę wdzięcznie powitanie twoje.

Witaj nam, o Hygieno! Tak zaintonowały kochane i — kochające się, jak wiadomo, Kuryery, na cześć nowej wystawy na placu Ujazdowskim, a z tym hymnem pochwalnym zlewam chętnie swój głos. Bo i jakże nie miałbym śpiewać na cześć wystawy higienicznej, jeżeli z jej to łaski spłynęła nowa sława na nasz gród syreni. Dotąd była Warszawa miastem pierwszym na całej kuli ziemskiej pod względem gęstości zaludnienia przez dzieci Izraela, — dzisiaj jest, nie pierwszym wprawdzie, lecz czwartym, w prastarej Europie, z racji — wystawy higienicznej. Dotychczas tylko Londyn, Berlin i Paryż urządziły w swych murach wystawy takie (?); — warszawska jest czwartą, więc Warszawo, bądź dumna!

Czytać jednakże o tych cudach, opiewanych przez Kuryery aż w związanej mowie — to nie dość, trzeba je widzieć; biegnę więc i zostaję zdumionym! Jakto? więc byli ludzie co śmieli utrzymywać, że pod względem urządzeń higienicznych stoimy na najniższym szczeblu? Więc byli pesymiści, którzy nie wahał się twierdzić, że wobec tego naszego higienicznego niemowlęstwa wystawa może być tylko, nie szkodliwą wprawdzie, ale, jak na nasze ubożuchne, wyszane, wysuszone kieszenie, zbyt kosztowną (jedną więcej) zabawką? Ależ to potwarz, obskurantyzm! Dość rzucić okiem po placu, aby się przekonać, że stoimy właśnie u szczytu udoskonaleń higienicznych, że żyjemy w epoce higieny nie jakiejś tam zwyczajnej, jaką prezentował światu Londyn, Berlin lub Paryż, ale higieny nadzwyczajnej, b e z w z g l ę d n e j, jakiej ani Londyn, ani Berlin, ani Paryż nie widział. Bo, proszę państwa, gdzie tu jest — przepaszam, chciałem powiedzieć — gdzie niema higieny? Gdzie spojrzysz, czego się dotkniesz, o czem dusza zamarzy, wszystko jest — higieniczne. Paryż ani Londyn nie miał zapewne na wystawie swojej ani świec higienicznych, ani wosku higienicznego, ani napastrków higienicznych, ani siekier i... łopat higienicznych, a tu wszystko jest i wszystko — higieniczne! Ba, w pierwszym dniu wystawy, widzia-

łem nawet „sztuczne brylanty“ — higieniczne, nie mówiąc już o gorsetach pewnej firmy starozakonnej z napisem: „przeciw biczu serca“!...

Niech sobie tam ktoś inny pisze w „Roli“ o higienie zwyczajnej, niech sobie pisze o „wzorowych“ urządzeniach szpitalnych, o bakterjach i królikach z zaszczerpioną wścieklizną, o kanałach i przyrządach kanalizacyjnych; ja nie mogę nie wspomnieć o okazach, reprezentowanych stosunkowo najliczniej: o okazach higieny b e z w z g l ę d n e j. Więc, oprócz wymienionych powyżej, mamy jeszcze nietylko obuwie higieniczne, krochmal higieniczny, makaron (widziałem go już na wszystkich wystawach przemysłowych) higieniczny, musztardę higieniczną, ale mamy i „wina krymskie“ higieniczne, a muszą być h y g i e n i c z n e w wysokim stopniu, boć wystawiła je przecie z n a n a firma — żydowska!

Bezstronność wszakże i prawda przedewszystkiem. Jeżeli mówię o tych wszystkich... nadzwyczajnościach wystawy higienicznej, toć nie mogę pominąć i jej braków, a braki są, o są! Kto wie jednak czybym je był widział tak jasno, jak je widzę w tej chwili, gdyby nie pewna uniwersalna współpracowniczka i sprawozdawczyni pewnego Kuryera — znana dyrektorka znanych hec dziecinnych. Widzę bo właśnie, jak szanowna ta córa Izraela, z n a n a nietylko w naszym marnym zaścianku, lecz w Japonii nawet, obsypana łaskami księcia K o m a t s u i księżnej Y o r i k o, widzę jak ta r e p r e z e n t a n t k a dam polskich w Warszawie r e p r e z e n t u j e w tej chwili, na wystawie, naszą prasę polską. Widzę ją jak, z notesem i ołówkiem w ręku, przebiega ulice wystawowe, jak z „głośnym hałasem“ wbiega do pawilonów, jak zbiera i notuje — dane; widzę ją i słyszę, jak kłaniającym się z uśmiechem „eksponentom“, z dumą najwyższej protektorki krajowego przemysłu i... przedstawicielki prasy, odpowiada: „dobrze, ja o tem napiszę“! Widzę ją wreszcie, jak staje przy oddziale wanien i robi wielki gwałt... Jakto? Tu widzę wanny, różne przybory kąpielowe, a gdzie jest nasza mikwa — gdzie nasza m i k w a jest!?

— Co zaszło? — czego pani dobrodziejka sobie życzy? — pytają zaniepokojeni członkowie komitetu wystawy.

— Jakto co!? Czy to i na wystawie higienicznej musi być antisemityzm?!

— Ależ, pani dobrodziejko łaskawa, tu niema wcale R o l i.

— Tfu... tfu... niech mnie pan nie wspomina o to brzydkie piszmiłło, ja mówię co tu jest wasze wanny a nasze m i k w e niema. To taka ma być jedność, taka miłość z żydami?

Taki alarm — jeżeli go nie zrobiła naprawdę — to mogłaby zrobić szanowna córa Izraela a uniwersalna sprawozdawczyni pewnego Kuryera, i, przyznając najszczerzej, najotwarciej, miałaby wszelką rację. Bo jeżeli mój serdeczny pan Jojna od „Izraelity“ może się, z zaciekłością iście izraelską, domagać, abyśmy, w imię jedności i braterstwa, pozwolili się jego współwyznawcom wyssać do ostatniej kropelki, obdrzeć do ostatniej koszuli, to dla czegoż pewne Róże i Sury od pewnych „Kuryerów“ nie miałyby, w imię tejże samej jedności, żądać produkowania na wystawach — nietylko s p e c y a l n y c h, ale najważniejszych urządzeń i naczyń higienicznych, używanych przez żywoł — jak powiada słynny memoryał giełdowy — „predominujący“?

Ale jest tu i inny, nader ważny, brak jeszcze: Brak bodajby dwóch, trzech kłozów z owem miłem, rozkosznym powietrzem z równie miłych, rozkosznych Nalewek, Franciszkańskiej, Wałowej — i radziłbym komitetowi wystawy, jeżeli chce zjednać tem większą sławę dla swego przedsięwzięcia i skompletować je, aby te braki co najrychlej wypełnił.

Mikwa higieniczna i powietrze higieniczne z Nalewek, okazy jakich również ani Londyn ani Paryż nie widział. — alboż to nie reklama dla wystawy warszawskiej, wobec Europy?

Tylko że reklama, nie zawsze dość wdzięcznie ocenianą bywa. Toć przecie pewnej znanej klice w dziennikarstwie warszawskiem zrobiłem reklamę tak rozgłosną, jakiej jej dotąd nie uczynił nikt; poświęciłem jej cały mój „posterunek“, a oni, ci panowie „klikarze“, czy tam ich „zwolennicy“, grożą w zamian memu wydawcy i redaktorowi — „zamordowaniem“. „Zginiesz, zginąć musisz“, wołają w anonimach, „zginiesz“, bodajby „pod pałkami“ (!), albowiem miara twoich z b r o d n i (!) przebrana. I nie dość tego. Serdeczni roznoszą, ba, nawet — rozpisują wieść, jakoby pan Jeleński wziął „udział“ w „Kuryerze Warsz.“ do spółki z innym jego „serdecznym“ — p. Lewentalem! Pomijając

całą śmieszność, nielogiczność i bezmyślność onej plotki potwarczej; pomijając iż ci, co ją szerzą, wiedzą dobrze, że wydawca „Roli” nie jest kapitalistą; pomijając, że zaci ci panowie wiedzą również dobrze, gdzie był robionym akt kupna i sprzedaży i jacy tam figurują wspólnicy, ciekawszem i bardziej charakterystycznym jest to, na co tę nową potwarz obliczono. Żyjemy — myślą sobie „klikarze” — w epoce takiego upodlenia, takiego upadku wszelkich pojęć moralnych, nad czerzszą i myśmy pracowali wytrwale, iż nikt nie uwierzy, aby komus iść mogło o zasadę bezwzględnej sprawiedliwości, nie zaś o — g e s z e f t. „Rola” uderzała na wydawnictwa pana Lewenthala, a teraz gromi jego konkurentów, więc na dnie tej zagadki tkwić musi — „interes”. Puśmy to w kurs, albowiem tym sposobem zdyskredytujemy pismo mieniające się antysemitkiem, a broniące przecież, gdy idzie o „interes” jego wydawcy — interesów żydowskich. Cel jasny — i s z l a c h e t n y, nieprawdaż? Pozwólcie jednak, cni panowie, zanim „wymordujecie” wszystkich nas, rolarzy, objaśnić mi przynajmniej tę „zagadkę ciekawą”. — Przypuśmy na chwilę, że sam pan Salomon jest wyłącznym panem i właścicielem „Kuryera”, i że on to nabył „interes” od wydawców — o ile mi wiadomo — nie żydów, którzy jednak na drugi dzień otwierają przedsiębiorstwo naśladowujące do złudzenia to, za które przed chwilą wzięli grube pieniądze. Mamże pochwalać, t a k a konkurencyę — dlatego, że tu idzie o żyda? Mamże patrzeć przez szpary na to, co popelnia „poważna firma chrześcijańska”, a potępiać wtedy jedynie czyny t a k i e s a m e, gdy się ich dopuszczają Szmule, Jojny, lub Abramki z Nalewek?

Otóż nie — nie, z a c n i panowie. To właśnie byłoby niegodziwe i niegodne „Roli”. Antysemityzm, do którego się panowie tak chętnie odwołujecie w tej potrzebie swojej — antysemityzm szczerzy i pojęty w znaczeniu najszlachetniejszej, najszczytniejszej obrony własnego społeczeństwa przed zgnilizną żydzenia, nie polega wcale ani na „biciu żydów”, ani na wołaniu: hep! hep! — jak to chcą mówić gwałtem ludzie nicy i podli. Nie polega on również na potępianiu w y ł ą c z n i e czynów i występków żydowskich, ale na piętnowaniu niemniej silnem wszystkiego, co przypomina, co w jakikolwiek sposób naśladuje etykę judaistyczną, a k a z i c h r z e ś c i a ũ s k ą. Tak my to pojmujemy; lecz czy to rozumieją ci, dla których g e s z e f t jest właśnie szczytem marzeń i jedynym bodźcem do wszelkiej „działalności na arenie publicznej”, i którzy dlatego chcieliby wszystkich zrobić — sprzedajnymi? Czy rozumieją to ci mali, nędzni, mizerni i udający zuchów wtedy tylko, gdy są skryci za płotem? — czy rozumieją to ci, posługujący się najnędzniejszym ze środków — anonimem i potwarczą plotką? Wątpię.

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Sprzedaż koronnych dyamentów francuzkich josszczę raz i błogi jej wpływ na przemysł warszawski. — Nowy kłopot z nowym pomnikiem. — P. Danielewski i cywilizacja pruska. — Swada rajchsratowiczów wiedeńskich. — Zgrzybiałość cywilizacji francuzkiej i magnetyzer Forey. — Dokąd idziemy. — Wspomnienie ku czci s. p. Zyblikiewicza. — Przesilenie ministerjalne we Francji. — Pozorne i właściwe jego przyczyny. — Oportaniści i Boulanger. — A gitacyza nim po miastach i po wsiach. — Petycyje. — Nowe zaburzenia robotnicze w Belgii. — Niemcy się obliżają.

Tak tedy, nietylko sprzedaż koronnych dyamentów francuzkich rozpoczęła się na dobre, nietylko trzecia rzeczpospolita z bogaciła się już na niej o 1,600,000 fr., ale już i nasz pan M. dokonał zamierzonego zakupu, już dwa dyamenty przywędrowały do Warszawy, a nie dałbym grosza złamanego za to, że w tej chwili zdobią już śliczne (oczywiście, inne być nie mogą) uszka przemysłowczyni warszawskiej...

Głębiej się nad tą rzeczą zastanowiwszy, przyznać trzeba panu M. nielada zasługę; podniósł on bowiem w Paryżu wysoko sztandar przemysłu polskiego. Przemysłowcy miejscowi, widząc że ich koledzy warszawscy, dla sprawienia przyjemności magnifikom swoim, niby nowożytnie Jazony po złote runo, wyprawiają się do Paryża po klejnoty koronne, niezmiernie wysokie powzięli wyobrażenie o kwitującym stanie tutejszego rynku przemysłowego; a ponieważ oni tam teraz na swoim własnym kurczą się, niby dyabeł w święconej wodzie, więc podobno kapitały i działalność swoją postanowili hurtownie przenieść na grunt warszawski.

Bywało i bywa, że z wielkiej chmury mały deszcz, i na odwrót... Jedna para koleczyków — co prawda, z dya-

mentów koronnych — dokona nietylko radykalnej rewolucji w przemyśle warszawskim, ale zmiany fizyognomii w stunkach całego przemysłu europejskiego...

Brawo!... Tylko jedna myśl kłopotliwa zaćmiewa mi wesołość jasnych horyzontów przyszłości, które się przedemną roztwierają... Zalegamy już z kilkoma pomnikami, a tu zjawia się nagle potrzeba nowego — dla pana M. naturalnie, za życia... No, ale prawda! Mickiewicz i inni mogą poczekać.

Podczas gdy jednym sztyła gołą, drugim i brzytwy nie chcą. W chwili, gdy złota era uśmiecha się do przemysłowców polskich w Warszawie, dla redaktorów polskich w Prusiech nastał wiek gorzej niż żelazny. Doświadcza go obecnie na sobie pan Ignacy Danielewski, redaktor „Gazety Toruńskiej”, który, osadzony w więzieniu toruńskim za przestępstwo prasowe, sypiał zrazu na tapczynie potrząśniętym słomą, ale obecnie na gołą ziemię zdegradowany został. Lbno chory, musi jadać zwykłą strawę z kotła więziennego. W czasie świąt Wielkanocnych, pozwolono wprawdzie żonie i dzieciom odwiedzić więźnia, ale nie pozwolono mu podzielić się z nimi jajkiem wielkanocnem!... Cywilizacja pruska, jak widzimy, robi olbrzymie postępy; obecnie składa egzamin maturitatis, z niewątpliwą pomocą do klasy... dzikości. Jak na naród, który się chełpi że berło cywilizacyjnej hegemonii wytrącił z rąk Francji, to wcale ładnie.

Żeby tak system pruski zastosować do niesfornych członków reichsratu wiedeńskiego, może to poskromiłoby nadmiar ich swady. Proszę sobie wystawić, że do ostatnich rozpraw nad budżetem, na 350 członków, z których izba się składa, 600, wyraźnie sześciuset zapisało się do głosu. Oczywiście, żaden prawie nie był pewny, czy się od razu do syta wygada, i przezornie zastrzegł sobie z góry drugie przemówienie. Oj, gdyby tak jeden i drugi przespał parę nocy na podłodze i skosztował toruńskich, ale nie pierników, tylko przysmaków więziennych, pewnieby mu się gardłować odechciało. Niema jak pruska metoda na choroby parlamentu!

Już to i francuzka cywilizacja, od czasu mianowicie zaprowadzenia błogosławionych rządów republikańskich, nie idzie wcale naprzód. Owszem, objawia się w niej widocznie zgrzybiałość, ubiegająca się za silnemi wrażeniami, mogącemi wstrzasnąć rozmiękle starością jej nerwy. Do takich eksperymentów należeć będzie widowisko, na które Paryż oczekuje niecierpliwie. Magnetyzer, Forey, publicznie, w teatrze, w klatce pełnej zwierząt dzikich, ma zamagnetyzować i zahypnotyzować kobietę, unieruchomiwszy ją w postaci leżącej, wśród rozdrażnionych umyślnie bestyj. Jeżeli już znalazła się kobieta, zryzykowana na podobne doświadczenie; jeżeli władza bezpieczeństwa i porządku publicznego pozwoliła na nie, to już rozumielibyśmy, w ostatnim razie coś podobnego w małym kółku specjalistów, ludzi nauki, którzy właśnie, dla celów naukowych, gotowi byłiby nerwy własne narazić na potarganie; — ale co myśleć o tej masie publiczności, która na tem widowisku z pewnością teatr wyżej brzegów napełni, i która niezawodnie przeważnie z kobiet składać się będzie! Czemu te tłumy lepsze od owej, do najwyższego stopnia spodłonej, rzymskiej hołoty, która od ostatnich cesarów bardziej nawet domagała się *circenses*, niż *panem*?...

Rozpacz, doprawdy, zdejmuję, patrząc na to dziczenie najszlachetniejszych niegdys odrośli pnia ludzkości. Do czego my idziemy!?

A! na jakież to minorowe dzisiaj kronika moja spadła tony! Czy wina tego leży we mnie samym, czy w tem co mnie otacza, nie wiem; — przepraszam Was w każdym razie, bo nie od tego tu jestem, żebym w Was żółć podburzał; — ale jeżeli, przez wzgląd na przeszłe zasługi, przebaczycie mi ten *lapsus humoris*, to niechże już łaska wasza będzie zupełną. Pozwólcie że zakończę — wspomnieniem człowieka, którego znałem młodym, silnym, pełnym życia, ognia i zapału, a który dziś spoczął już przedczesnym snem „nieprzespanym”, z olbrzymią szkodą dla swego społeczeństwa. Mówię tu o s. p. Zyblikiewiczu. Szczegóły jego żywota i zasługi obywatelskie kto inny zapewne w „Roli” opisze; ja pragnę tylko te kilka słów, niby kilka grudek ziemi, rzucić na mogiłę tego, z którym w dawnych chwilach łączyła mnie jeduność przekonań i wspólność prac, i którego usposobienie i charakter znałem może lepiej niż wielu innych. Nieboszczyk nie był pospolitym, tuzinkowym człowiekiem; obok wysokiej prawości, od pierwszych swoich występów na arenie życia obywatelskiego, odznaczał się tem, że był bystry jak iskra i jak iskra zapalny. Zapalność ta szła tak daleko, że w pierwszych czasach, kiedy przyszła na stół

kwesja ważniejsza dla społeczeństwa, która go mocniej obchodziła, — a mocno obchodziły go wszystkie, — dyskusja z nim stawała się niemożliwą. Z czasem, ten zbyt ogień wytrawił się, a pozostała po nim, zawsze pełna zapału, potężna energia, która, w połączeniu z bystrym poglądem na sprawy krajowe i z zacnością charakteru, uczyniła zeń jednego z najdzielniejszych, najpraktyczniejszych, najenergiczniejszych, a więc najpożyteczniejszych ludzi politycznych w Galicyi. Prowincya ta dziś jeszcze nie wie dobrze, co utraciła w Zyblikiewiczu; okaże się to dopiero później. Tymczasem ma rację że go grzebie kosztem krajowym, skoro wskrzesić go dla kraju nie jest w jej mocy. Niechże „mał sprawiedliwy“ spoczywa w pokoju, którego mu z pewnością nie zamąci, chyba żal, że mu brakło czasu na dokonanie dla społeczeństwa swego wszystkiego, czego pragnął i czego mógł dokonać...

Komisya budżetowa francuzka, w mocno już obciążonym budżecie zażądała nowych jeszcze oszczędności. Rząd, z panem Gobletem na czele, uznawał potrzebę tych oszczędności, gotów był porozumieć się z komisją, wypraszał się tylko od zbyt nagłych redukcji, perswadując, żeć nie podobna w jednym roku doprowadzić do równowagi budżet, który ją od tyłu lat utracił. Nic nie pomogło, izba naprzód odrzuciła wniosek wyrażenia ufności dla gabinetu, a potem odrzuciła i budżet. Goblet podał się do dymisji. Właściwie nie chodziło tu o niego tylko Boulanger'a, którego chciano wraz z nim obalić; ale przeliczyli się oportuniści, którzy tę kabałę ułożyli. Boulanger ma za sobą opinię publiczną; Paryż, Lyon, Reims urządzają na jego korzyść manifestacje, na całej prowincyi wre na jego rzecz agitacja; p. Grévy odbiera ciągle petycje o utrzymanie Boulanger'a na stanowisku. Wobec tego Freycinet, który miał największy apetyt zabawić się ponownie w prezesa gabinetu, nie chce przyjąć misji utworzenia nowego ministerium; nie chcą się jej podjąć i inni, wzywani przez Grévyego mężowie. Przesilenie przeciąga się, z wielkim niepokojem dla Niemców, dla których, jak wiadomo, Boulanger odgrywa rolę wilkołaka.

W biednej Belgii znów wybuchnęły zaburzenia robotnicze, z charakterem socjalistyczno-anarchicznym. Bezrobocie ogarnęło głównie kopalnie węgla. Robotnicy mają rewolwery i dynamit; liczba ich sięga już 20,000; było już kilka wybuchów dynamitowych i kilka krwawych starć z wojskiem; gdyż rząd przedsięwziął energiczne środki w celu powściągnięcia ruchu. Nie wystarcza to jednak Niemcom, którzy wietrzą już niebezpieczeństwo międzynarodowe i w celu zażegnania go natrącają już o interwencyi międzynarodowej, a li s niemieckiej. Przyjemniaszki!...

E. Jerzyna.

P. S. W chwili oddawania numeru na prasę, telegrafują z P a r y ż a : „Dnia 25 Maja, godzina 8 1/2. „Opera Komiczna“ gore. Pożar wybuchł na początku przedstawienia. Teatr napelniony. Mówią o licznych ofiarach.“

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Ś. p. ks. Zenon Chodyński. W dniu 17 b. m. zmarł we Włocławku kapłan wielkiej cnoty i zasługi wielkiej. Zmarł ks. Zenon Chodyński, prałat, kustosz katedry włocławskiej, sędzia surogat konsystorza generalnego diecezji kujawsko kaliskiej i zarazem administrator parafii Chocień, — a zmarł w sile wieku, gdyż liczył dopiero lat 50 życia. Wzorowy sługa Kościoła, był zarazem uczonym, znanym z prac swoich na polu historycznym.

W roku 1836 przyszli na świat dwaj bracia bliźnięta: Stanisław i Zenon Chodyńscy — i obadwaj też obrali sobie później stan duchowny. Ukończywszy seminaryum duchowne we Włocławku, obadwaj bracia wstąpili do b. Akademii duchownej w Warszawie, i tutaj otrzymali razem stopnie naukowe kandydatów Ś-tej Teologii. Święcenia kapłańskie otrzymali także jednocześnie w roku 1860, i obadwaj znowu, w r. 1866, jako profesorowie, objęli katedry w seminaryum włocławskiem. W roku 1874, ś. p. ks. Zenon został regensem seminaryum, a jako na tem stanowisku umiał zjednać sobie miłość, jakim był przewodnikiem młodzieży sposobiącej się do szczytnych obowiązków kapłańskich, dość wspomnieć, że nie było alumna, któryby ś. p. ks. Zenona nie cenił i nie kochał jak ojca. Dobrocią serca, podniosłością charakteru, uprzejmością i słodyczą w obejściu jednał sobie ś. p. ks. Chodyński i pociągał wszystkich, a niezmierną pracowitością budził podziw ogólny. Samo kierownictwo seminaryum, oraz sprawowanie wa-

żnych urzędów w konsystorzu wkładało na czcigodnego nieboszczyka ogrom pracy, a przecież miał on jeszcze czas na poszukiwania w archiwach, na odcyfrowywanie odwiecznych dokumentów i na badanie dziejów Kościoła, któremu czyste i szlachetne życie swoje poświęcił.

Otoczony czcią i kochany przez wszystkich, zotawił też po sobie ś. p. ks. Chodyński, w sercach wszystkich — a zwłaszcza w sercach niezatrutych nowożytnym pogaństwem — żal szczery i głęboki.

Cześć pamięci czcigodnego, pełnego cnót kapłana, obywatela i męża rzeczywistej nauki!

Pogrzeb ś. p. Zyblikiewicza odbył się w ubiegły Poniedziałek, t. j. w dniu 23 b. m., a odbył się kosztem kraju i z taką okazałością, jakiej Kraków oddawna już nie widział. Już od wczesnego rana, nieprzejrzane tłumy zebrały się przed kościołem ks. Pijarów, gdzie spoczywały śmiertelne szczątki nieboszczyka. Przy wyprowadzeniu zwłok, przemówił marszałek krajowy, hr. Jan Tarnowski, wynurzając, w gorących i serdecznych słowach, żalobę całego kraju, poczem, wśród śpiewów duchowieństwa rusińskiego, kondukt pogrzebowy wyruszył do kościoła N. Maryi Panny, gdzie odprawionem zostało uroczyste nabożeństwo żałobne. Kondukt prowadził greko-katolicki Biskup przemyski, ks. Stupnicki, w otoczeniu księży i 32-eh alumnów obrządku gr.-kat. Obrządek ormiański reprezentował ks. Arcybiskup Isakowicz, rzymsko-katolicki ks. ks. Biskupi: Dunajewski, Krasieński i Łobos, tudzież 300 księży.

Obok tak licznego udziału duchowieństwa, wystąpiły w tym obrzędzie żałobnym nader liczne stowarzyszenia i instytucje, jak: stowarzyszenie weteranów, cechy i stowarzyszenia rękodzielnicze, z chorągwiemi i insygniami, stowarzyszenie gimnastyczne „Sokół“, stowarzyszenie akademickie, Towarzystwo techniczne, tatrzańskie i muzyczne, delegacje rad miejskich i powiatowych, wydział krajowy, członkowie izby panów, posłowie sejmowi, delegaci Koła polskiego w Wiedniu, władze rządowe, cywilne i wojskowe, etc. etc.

Na ementarzu przemówił pierwszy prezydent miasta Krakowa, dr. Feliks Szlachtowski, dalej, imieniem Koła polskiego, poseł p. Zygmunt Sawczyński, a w imieniu rękodzielników p. Kornecki.

Cały ten smutny obrzęd odznaczał się nastrojem niezwykle poważnym i uroczystym, a na twarzach wszystkich widocznym był żal głęboki za jednym z najszlachetniejszych ludzi i najdzielniejszych obywateli, jakimi Galicya kiedykolwiek poszczycić się mogła.

Wystawa higieniczna otwartą została w dniu 21 b. m. Nie ujmując w niezem zasługi inicjatorom wystawy, za staraniem których, przy niewielkich stosunkowo środkach, stworzono rzecz pożyteczną i pouczającą w gruncie, nie możemy przecież zgodzić się na pewne sprofanowanie charakteru naukowego wystawy, przez przyczepienie do niej handlarstwa najrozmaitszemi przedmiotami nie mającemi nic wspólnego z higieną. Pomijając tę, wysoce nieimiłą okoliczność, którą zresztą w numerze dzisiejszym określa bliżej nasz feljetonista. — słusność nakazuje wyznać, że jest tutaj wiele przedmiotów godnych bliższej uwagi, z którymi też nieomieszkały zapoznać czytelników naszych w numerach następnych. Do takich zaś przedmiotów, reprezentujących r z e c z y w i ś c i e higienę, a zgromadzonych nawet dość starannie, należą, między innymi, urządzenia szpitalne i kanalizacyjne, oddział pedagogiczny, bakteriologiczny i t. d.

I znowu! Na placu wystawy higienicznej, mają być znowu urządzone „wielkie zabawy“ dla dzieci — pod kierunkiem tej samej, wścibiającej i narzucającej się wszędzie, aż do obrzydzenia, damy — starozakonnej. Odbywały się już na tym samym placu, podczas innych wystaw, różne he c e k o Ń s k i e, dla czegoż więc teraz nie miałyby być różne hece... dziecinne, zwłaszcza że bywały już one i w zwierzyńcu i... w tattersalu. I jeżeli idzie o ży d z i ą t k a warszawskie, nie mamy nic przeciwko temu; owszem, niech się bawia, gdzie chcą... pod opieką (!) *sw o j e j* rodzinnej przewodniczki. Jeżeli jednakże mają się „bawić“ dzieci p o l s k i e, to powiemy, iż matki ich powinnyby mieć jakąś odrobinę wstydu i nie kazić zawczasu uczuć niewinnej swojej dziatwy, nie oddawać jej pod komendę — żydówki!...

Zię w Zgromadzeniu slusarzy, o którym wspominaliśmy w jednym z numerów poprzednich, wychyliło nareszcie swoją głowę i... wyrwało się z repliką, ale, niestety, z repliką prawdziwie niefortunną. Mianowicie, Starszy i Podstarszy tego Zgromadzenia, p. p. K l e m c z y Ń s k i i J ę d r z e j e w i c z, wystąpili w „Kuryerze Warszawskim“ z rodzajem „objaśnienia“, w którym usiłują przekonać „opinię publiczną“, że w cechu któremu oni przewodniczą, dzieje się jak najlepiej (!), i że przeciwnicy ich rządów, p. p. Szewczykowski i Puchalski, żądając reform, nie mają żadnej racji. Mylą się atoli autorowie odezwy, jeżeli sądzą że wystąpieniem swoim załatwili sprawę i „opinię“ przekonali naprawdę. Owszem, przekonali ją, ale o tem jedynie, że j a k t o w i d a ć z w ł a s n e g o i c h r a c h u n k u, „libacye“, owe nieszczęśne l i b a c y e, przeciwko którym powstają głównie dwaj wymienieni członkowie Zgromadzenia, a z nimi wielu innych majstrów, dbających o godność i poważanie rzemieślnika polskiego, —

że „libacy“ te, mówimy, pochłaniają istotnie największą stosunkowo część funduszków cechowych. Autorowie „odezwy“ dowiedli wprawdzie, że umieją przeciwnikom swoim... wymyślać, ale też przez to samo dowiedli i dwóch innych rzeczy: najpierw, że nie są oni widocznie wrogami... „libacy“, których się wypierają, powtóre, że ci właśnie, którym wymyślają, mogliby ich śmiało przyjąć do „terminu“ — czyli na naukę przyzwoitości, taktu i dobrego wychowania. Nie wątpimy też, że p. p. Szewczykowski i Puchalski, jako ludzie inteligentni, rozumni i pełni dobrej woli, nie uważając na równie brutalne jak niemądre wystąpienie to „przewodników cechowych“, starać się będą w dalszym ciągu o wprowadzenie tych zmian, jakich dobro ich Zgromadzenia i dobru setek stowarzyszonych współkolegów bezwarunkowo wymaga. Ze swej strony, życzymy im szczerze powodzenia i szczerze też, pod tym względem, popierać ich będziemy.

Nowości wydawnicze. Pan Konstanty Wzdulski, znany już z prac swoich treści społecznej i ekonomicznej, wydał świeżo broszurę p. t. „Żydzi polscy w świetle prawdy“. Przeczytaliśmy rzecz tę ze szczególnym zajęciem i przyznać musimy, iż pracy, któraby stosunek żydostwa do społeczeństwa naszego przedstawiała w tak jasnym i wyraźnym świetle, dawno już nie zdarzyło nam się spotkać. Autor, wierny dewizie położonej na czele swego studium: *semper veritas* — z powagą, spokojem i godnością, ale też i z odwagą, nie znającą żadnych względów ani sentymentów, maluje stan „sprawy żydowskiej“ takim, jakim jest rzeczywistość. W każdym zdaniu sz. autora znać szeroki i wyrobiony na tę sprawę pogląd, znać myśl głębszą i gorącą miłość swojego społeczeństwa, które przed najsmutniejszymi następstwami fałszywego pojmowania tej nieszczęsnej sprawy pragnąłby ostrzedz. Wkrótce zresztą, z treścią tej broszury nieomieszkały zapoznać bliżej czytelników naszych. Tymczasem, witamy ją serdecznie i z prawdziwym zadowoleniem, jako głos prawdy — prawdziwej i z całej wiary, wypowiedzianej przez człowieka i obywatela, któremu śmienie, na widok groźnego niebezpieczeństwa, milczeć nie pozwala. Pracę też tę pragnęlibyśmy polecić szczególnej uwadze czytelników, jako zasługującą ze wszech miar na jak najszersze rozpowszechnienie, do czego i niska cena broszury (40 kop) tembardziej przyczynić się powinna.

Z teatru i muzyki. Na scenie teatru Wielkiego debiutuje panna Gilbert-Kaszowska. Ponieważ niektóre zwłaszcza pisma, z „Izraelita“ na czele, o występach młodej „artystki“ piszą już tak, jakby w niej przeczuwały nową śpiewającą „chlubę narodu“, nie od rzeczy więc będzie podać zawczasu jej prawdziwy rodowód. Otóż nowa ta, przeczuwana przez pisma izraelskie, „gwiazda“ jest córą rodziców starozakonnych. Matka jej nazywała się z domu Zylberg, a ojciec Grützhändler, co w przekładzie na język polski, znaczy: handlarz kaszy. „Młoda artystka“, uważając widocznie, że dziś nazwiska żydowskie, nawet na afiszach teatralnych, nie są arcy-sympatycznie widziane, zrobiła się pół francuzką — pół polką. Z Zylberga tedy zrobiło się Gilbert, a z Grützhändlera — Kaszowska. Fabrykacya nazwisk, przynajmniej, dość ciekawa, ale, według nas, wcale nie pożądana. My wolelibyśmy, aby żyda można było zawsze jak najłatwiej poznać.

Zmarli: Ś. p. ks. Edward Mankiewicz, ostatni przeor klasztoru O. O. Dominikanów w Lublinie — zmarł w Gidlach, licząc 64 lat życia, a 44 kapłaństwa.

Ś. p. Józef Buszczyński, właściciel drukarni i wydawca „Gazety Toruńskiej“ — zm. w Toruniu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu B. L. w Warsz. — „Izraelita“ skłamał, jak zwykle, z właściwą sobie bezczelnością. Nigdy i nigdzie nie polecaliśmy tej firmy, jako godnej wszelkiego poparcia. Przyczepka przeto jest niegodziwością, na jaką tylko żyd zdobyć się jest w stanie.

P. X. — Za zwrócenie uwagi dziękujemy uprzejmie. O powołaniu do „Komitetu dyskontowego“ dwóch nowych członków, czynimy w dzisiejszym artykule wstępnym odpowiednią wzmiankę.

P. R. B. w Ho... — Co do 1-go: Po sprawdzeniu na poczcie warszawskiej, upewniamy sz. pana raz jeszcze, że wszystkie numery były wysłane we właściwym czasie. Co do 2-go: W odpowiedzi owej nie szło o wstrzymanie numerów do czasu wydrukowania adresów, gdyż to w żadnym razie miejscaby mieć nie mogło, ale o błąd w adresie pisanym. Co do 3-go: Rzecz tę wyjaśniliśmy dość szczegółowo w Nr. 22 „Roli“ z r. 1885. w artykule wstępnym. Obecnie więc powtórzmy tylko, iż uchwały tego rodzaju mogą być i są wydawane na zasadzie Ukazu (o urządzeniu gmin wiejskich) z roku 1864 (§ 16, punkt b). Wykonywanie ich jednak zależy: najpierw od zatwierdzenia przez właściwą władzę, a następnie od dobrej woli i energii miejscowej administracji gminnej.

Anonimom. — A czybyście nie zechcieli sami zgłosić się po „odpowiedź“?

Od Administracji „Roli“.

P. p. kupców i przemysłowców ostrzegamy niniejszem, iż indywiduum nazywające się Jakubowiczem i opowiadają-

ce — w celu wyłudzenia pomocy — o swym zamiarze przyjęcia religii katolickiej, nie ma żadnego upoważnienia do zbierania ogłoszeń, ani też do załatwiania jakichkolwiek czynności w imieniu administracji naszego pisma.

REKLAMY.

W-ny P. Ritter Inż.-Tech., wynalazca „Exsiccatora“, Warszawa, Królewska 39.

Z przyjemnością zawiadamiam Sz. P. że: wilgoć znajdująca się w mieszkaniu mem, na parterze w domu hr. Ostrowskiego Mazowiecka Nr. 3, oddziaływająca szkodliwie na zdrowie i sprzęty mieszkalne, dzięki-li tylko Pańskiemu wynalazkowi „Exsiccatora“, została zupełnie usunięta.

Warszawa, d. 26 Kwietnia 1887 r.

Hr. Helena Mikorska.

Uwaga. Liczne podobnej treści relacje instytucyj rządowych i prywatnych, w kraju i zagranicą, zakł. fabr i przem., oraz, poczynawszy od osób zajmujących najpoważniejsze stanowiska aż do włóścian, posiadam od r. 1879, od którego to czasu poczynawszy, „Exsiccator“ do osuszania wilgoci w murach, zabezpieczania drzewa od gnicia, grzybka, oraz w zastępstwie farby olejnej był zastosowywany praktycznie, bez jego obecnej nazwy.

Telegramy:

RITTER, Warszawa. (1—1)

A. Sobolewski. Bielańska 5. Poleca obrwie męzkie i damskie z najlepszych materiałów, ceny przystępne. (12—1)

FABRYKA RĘKAWICZEK Bronisława Michalskiego. Ś-to Krzyżka Nr. 17. (4—3)

Dentysta Marcei Grzeszkiewicz, Nowy Świat nr. 55, przyjmuje od 10 do 6-ej, — specjalnie sztuczne zęby. 12—1

OGŁOSZENIA.

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Koldry, Dery i t. p. JUTY i WĘŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-21 i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Bielańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

Skład Nici

A. GRAFF

Nowy-Świat Nr. 27

w Warszawie,

poleca: Towary Norymberskie — Galanterye — Hafty — Gorsety — Wstążki — Woalki — Wyroby Pończosnicze — Halki letnie od k. 80 — Sukienki poranne (Matiné) — Szlafroki od rs. 1 kop. 80 i t. p. — Perfumerye krajowe i zagraniczne, Laboratorium St.-Petersburgskiego i Brocarda.

Ceny niskie. (6—1)

JAN CHRUSZCZYŃSKI

Stolarz

12-8

róg ulic Mazowieckiej i Ś-to Krzyżkiej Nr. 22, w Warszawie,

poleca w wielkim wyborze urządzenia pokoi sypialnych, jadalnych — i na zamówienia.

Koronki, Żaboty, Wstążki, Garniowania do Sukien, Woalki, Rękawiczki jedwabne, Kołnierzyki i Mankiety damskie i dziecinne, Chustki płócienne batystowe, koronkowe, do nosa. Pończochy damskie i dziecinne, Kamusze wełniane, Halki kortowe i trykotowe, — poleca w wielkim wyborze po cenach niskich !!!

MAGAZYN BIELIZNY MĘZKIEJ

A. KIERST I S^{ka}

5. Bielańska 5, — vis-a-vis Daniłowiczowskiej.

Wszelkie zamówienia z prowincyi skuteczniami odwrotną pocztą, franco. Ceny niskie.

26—5

Skład Główny Wód Mineralnych Naturalnych,

WPROST ZE ŹRÓDEŁ SPROWADZANYCH,

przy **Aptece Magistra Farmacyi**

LEONARDA ZIEMIŃSKIEGO,

w **WARSZAWIE**

róg ulic Marszałkowskiej i Królewskiej (naprzeciw Ogrodu Saskiego),

zawiadamia: że nadeszły tegoroczne, świeże transporta wiosenne Wód Mineralnych Naturalnych, ze wszystkich źródeł Krajowych i Zagranicznych, z Zarządami których Skład mój od lat wielu pozostaje w bezpośrednich stosunkach, mianowicie, Wody Mineralne: **Niemieckie, Austriackie, Czeskie, Węgierskie, Galicyjskie, Francuzkie i t. d.** Oprócz Wód Mineralnych, Skład zaopatrzony jest w rozmaite produkty źródłowe, jak **Sole i Pastyłki** wewnątrz używane, oraz **Szlamy, Ługi i t. d.** do zewnętrznego użytku.

Swieżość Wód poręcza się i fakturami oryginalnymi odpowiednich źródeł, może być stwierdzoną — broszurki w różnych językach bezpłatnie są dostarczane. **Odstępuje się rabat biorącym Wody Mineralne w większych ilościach.**

Zamówienia czyli obstalunki przyjmują się ustne, piśmienne lub drogą telegraficzną. Wysyłka skuteczniami jak najspieszniej bez doliczania kosztów odwózki do domów i dworców kolei. Adres dla listów jak wyżej, — dla telegramów **Warszawa, Ziemiński, Aptekarz.**

MAGAZYN RĘKAWICZEK

Reniferowych i Żrebiących

Tadeusza Witoszyńskiego

Krakowsko-Przedmieście Nr. 85

w pasażu.

Ceny stałe i niskie.

(4—3)

T. WITOSZYŃSKI.

„ZŁOTY UL“

FABRYKA PIERNIKÓW

w **Warszawie, — Nowy-Swiat Nr. 7,**

poleca:

Pierniki słodowe, Chleb miodowy (Pumpenikel) zalecany zagranicą przez lekarzy na wszelkie **dolegliwości żołądka, oraz cierpienia hemoroidalne**; — ułatwia trawienie u osób słabych i wątłych dzieci.

Fabryka nabywa **miód wprost od producentów,** w każdej ilości po cenach targowych, oraz **miody do picia.** (52-12)

Nowo otworzona Fabryka Polska
TKANIN METALOWYCH

ORAZ

Wszelkich Wyrobów Drucianych (52 30)

E. CHRZANOWSKIEGO,

w **WARSZAWIE,**

Bielańska 16 (12) dom p. Zawiszy.

Poleca: Siatki ochronne przeciw muchom i wszelkim owadom, przy otwarciu okien, Siatki druciane dla fabryk papieru, cukrowni, krochmalni, cykoryi, cementu, młynów, suszarni, dla browarów, gorzelni. Wszystkie przybory pszczelnicze. Sita do kończyń białej i czerwonej, specjalnie przezemnie ulepszone, które oczyszczają bakę, kaniankę i szczawik; za sita te, mimo konkurencyi, ja jeden zostałem zaszczycony nagrodą. Cena trzech sit do kończyń czerwonej rs. 3 kop. 70, a trzech sit do białej rs. 3 kop. 30. Sita do czyszczenia wszystkich zbóż z groszku, kąkolii i kostrzowy. Liny do transmisji. Materace druciane, elastyczne do łódek, arfy do ziemi i zwirowi, cylindry do czyszczenia zboża i rafy, oraz wszelkie wyroby galanteryjne, manekiny do upinania sukien, tak druciane jak i paryskie od rs. 4, które się rozsuwają podług wzrostu i tuszy. Pudła francuzkie do noszenia sukien. Fabryka przyjmuje ogrodzenia ogrodów i kłębów oraz płotów drucianych, po cenach nader niskich.

Zakłady Wapienne

SULEJOWSKIE I OPOCZYŃSKIE

firmy

„JÓZEF BANDURSKI I S^{ka}“

Określiwszy przymioty naszego wapna, w poprzednich ogłoszeniach, więcej teoretycznie, przy zaznaczeniu ilości i sposobu produkcji oraz załączeniu szczegółowych analiz, wykazujących na 100 części 99¹/₂, czystego wapna; niniejszem zwracamy uwagę, na fakt stwierdzony w praktyce, przez pp. Budowniczych, Majstrów mularskich i Przedsiębiorców że wapno nasze prócz wielu cennych przymiotów, wrobocie jest tak tłuście i wydajne, iż po zlasowaniu go i użyciu do robót, przyrost wykazuje się **co najmniej 25% więcej w porównaniu z innymi** (do 1000 cegły użytej do muru z wyprawą, potrzeba użyć innych marek 2¹/₂, do 3 ch korcy, naszego zaś nigdy **więcej nad 2 korce**) zatem do kalkulacji ceny, tę różnicę, należy brać w uwzględnienie, z czego wypada, że wapno nasze nie tylko jest najlepsze ale i najtańsze!

Konkurencya znając te przymioty podszwaja się pod miano Sulejowskiego, ze sprowadzanymi **pośledniejszymi markami** (najwięcej kolorem zbliżonymi do Sulejowskiego) rekomendując je za Sulejowskie węglem palone i jakoby z naszych zakładów pochodzące, objaśniając prztem w naiwnej nieświadomości, że wapno wypalane drzewem lepsze jest od wypalonego węglem (!!) dyskredytuje tym sposobem nasz produkt i wyrządza nam krzywdę! W obronie zatem własnego interesu, nie możemy tych manewrów konkurencyjnych, skierowanych nie tylko na naszą szkodę ale i ogółu interesowanego, pokrywać milczeniem i dla tego niniejszem ostrzegamy kogo należy.

Wapno przez nas produkowane, wysyłamy na wszystkie Drogi Żelazne, za gotówkę, lub zaliczenia kolejowe (nachnahme). Zamówienia przyjmuje kantor nasz w Warszawie Okopowa № 10. Tamże zamawiać można: **CEMENT, GIPS, CEGŁY i GLINKI, ogniowalą, TRZCI-NE i t. p.** 0—13

MAGAZYN UBIORÓW MĘZKICH

A. Tomaszewskiego

ulica Podwal Nr. 497 lit B. (Nr. 5 nowy), w **Warszawie.**

Magazyn zaopatrzony w ogromny wybór sukna, kortów i gotowej garderoby męskiej.

Osuszanie i Dezynfekcja

mieszkań, urządzenie pieców wentylacyjnych, wentylacja kuchni, pralni, wygódek i t. p., przyrządami systemu Architekta **SWIECIANOWSKIEGO.**

Sienna Nr. 25, m. 7, od 2—4.

KRAWIEC

A. GOBIEC — znany z sumiennego wykonywania robót, obecnie **Marszałkowska 139** — przyjmuje, jak zwykle, wszystkie obstalunki, tak z własnych jak z łaskawie powierzonych materiałów, wykonując je pociętnie i tanio. (6—5)

J. TUROWSKI MALARZ-DEKORATOR ROBÓT KOŚCIELNYCH I POKOJOWYCH ORAZ WSZELKIEGO RODZAJU ROBÓT ZWYCZAJNYCH. (52-19)
Nowy-Swiat Nr. 23.

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GAŁKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyckiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, — Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. — Kalesony, Skarpetki i Szelki. — Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmniejszych. — Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. — Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera.

Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spieszenie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—36

HURTOWO-DETALICZNY

SKŁAD WYROBÓW TABACZNYCH

PAWŁA KOŁODZIEJSKIEGO i S-ki

przy ulicy Nowy-Świat Nr. 51 (róg Wareckiej).

10—5

Poleca :
wielki wybór cygar, tyto-
niu i papierosów, z wszyst-
kich fabryk rosyjskich i
miejscowych, oraz gily
własnej fabryki, z pra-
wdziwej francuskiej bibuł-
ki „ABADIE“.
Dla P. P. Handlujących od-
stępuje towar na najko-
rzystniejszych warunkach.
Cenniki
na żądanie franco.

ZAKŁAD ZEGARMISTRZOWSKI
F. SZYMANIEWSKIEGO
Marszałkowska Nr. 94, obok Apteki BARCZA

POLECA :

Zegary, zegarki pierwszorządnych fabryk Genewskich, Paryżkich i Freiburskich. Jak również przyjmuje do naprawy zegary, zegarki i zegary starożytne.

Jako długoletni pracownik pierwszorządnych fabryk zagranicznych, oraz paru najpierwszych zakładów Warszawskich, a ostatnie lat kilka w znanej firmie L. Babezyński, jako pracownik najpierwszych robót — poleca się z najakuratniejszą reperacją, przy gwarancji dwuletniej.

CENY JAKNAJNIŹSZE. 12—2

PŁASZCZE GUMOWE
dla Dam, Mężczyzn i Dzieci
KUFRY, WALIZY, TORBY

oraz
wszelkie przybory do podróży
poleca

FABRYKA
T. L. BREYMEYER, Warszawa
Królewska Nr. 1 róg Krak. — Przedn.

52-40

MAGAZYN

UBIORÓW MĘSKICH

Feliksa Paszkiewicza

ulica Długa Nr. 31,
(Hotel Niemiecki).

Zaopatrzone w wybór gotowej Garderoby, oraz Materyały z najpierwszych fabryk krawcowych i zagranicznych, z których, jakoteż i z powierzonych mu wykonywa wszelkie obstarunki, podług najświeższych żurnali paryżkich, na żądanie w ciągu 24 godzin. Na prowincyje przesyła sposób wzięcia miary samemu sobie, wraz z próbami.

Ceny nader przystępne.
Wybór Burek sławuckich, oryginalnych.

KAJETAN CHMURKOWSKI 12-2
SZEWC MĘZKI I DAMSKI
w Warszawie — Królewska 27.

Statki Parowe Polskie
„MAZUR“ i „KRAKUS“
odchodzą codziennie z Warszawy o godzinie 8 mej min. 30 rano; z Płocka o 6-tej rano.
(6—5)

Po kilkunastoletniej praktyce w pierwszorządnych zakładach krawieckich w Warszawie i zagranicą, otworzyłem

Magazyn Ubiorów Męzkich wraz z Pracownią
pod firmą:

P. WALASIŃSKI

przy ulicy Elektoralnej Nr. 25, wprost Szpitala Ś-go Ducha, w którym wykonywać będę wszelkie roboty w zakres krawiectwa wchodzące, tak z własnych jak i z powierzonych mi materyałów.
(4—3)

SKŁAD MEBLI 13-12
MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), I-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykwintnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.

Polski Kantor Bankierski
RADZISZEWSKI i S-ka (52-20)
WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Treść numeru: Gospodarka finansistów warszawskich (Serya III) XI. — Jeszcze w sprawie p. Waliszewskiego. — Francya żydyżiała (d. c.) — Idealy belletrystyki pozytywnej (d. c.) — Na posterunku, feljeton Kamiennego — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku: Przez dolinę łez, powieść J. Rogosza (d. c.). — W Dodatku Sprawozdanie handlowe. Ogłoszenia.

Redaktor i Wydawca Jan Jeleński. Дозволено Цензурою. — Выпущена 12 Мар 1887 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)

Patrz Dodatek